

Aleksiej Wasiljewicz Szyszow, *Dwugławyj orioł nad Kawkazom 1804–2008 gody*, Izdatielskij dom „Wieczie”, Moskwa 2009, ss. 448 (aneks dokumentarny)

Są na rosyjskim rynku książki historycznej pisarze–fenomeny typu Aleksandra Szykorada czy Arsena Martirosjana, wydający od lat co najmniej jedną książkę rocznie, „obsługujący” cieszące się ogromnym zainteresowaniem czytelników serie typu: „Tajny XX wieka”, „Wojennyje tajny Rossii”, „Wojennyje tajny XX wieka”, „Mir w Wojnach”, „Istorija Rossii”, „Impierija.RU”, „200 miłow o Stalinie”, „Druzja i wragi Rossii”, „Wielikaja Otieczestwiennaja Nieizwiestnaja Wojna” itd., itp. Ta ich kolosalna płodność pisarska jest możliwa, ponieważ nie tworzą literatury naukowej, wprowadzającej do obiegu fachowego nowe źródła czy proponującej odkrywcze interpretacje. Ograniczają się do opartej na kilku lekturach popularyzacji i informacji, niekiedy przekraczającej granice indoktrynacji — jako że głoszą treści bez reszty mieszczące się w polityce historycznej ostatniego dziesięciolecia, podbudowujące mit rosyjskiego (sowieckiego) mocarstwa, otoczonego wrogami, ale mimo to konsekwentnie zabiegającego o pokój dla świata. Nie warto byłoby na nie zwracać uwagi czytelników „Dziejów Najnowszych”, gdyby nie skala tego procederu, jego kolosalny wpływ na kształtowanie wiedzy historycznej współczesnego społeczeństwa rosyjskiego. Dlatego uważam za celowe od czasu do czasu przypominać, jakie ujęcia dominują na rosyjskim rynku książki historycznej.

Do grona autorów zarzucających swymi pracami rynek wydawniczy należy historyk wojskowości Aleksiej Szyszow, który w okresie ostatnich dziesięciu lat wydał około 30 opracowań — i to bynajmniej nie broszurowych¹. Są wśród nich także prace związane z dziejami rosyjskiego podboju Kaukazu i Zakaukazia, merytorycznie poprzedzające omawianą pracę: *Bój o Kaukaz*, stanowiący zarys trwającego bez mała cztery wieki procesu zbrojnego podboju i anektowania „południowych rubieży”², a także zebrane w jeden tom biografie wodzów, którzy tego podboju dokonali — Waleriana Aleksandrowicza Zubowa, Iwana Wasiljewicza Gudowicza, Aleksieja Pietrowicza Jermołowa, Iwana Fiodorowicza Paskiewicza–Erywańskiego, Wasilija Osipowicza Biebutowa, Iwana Małchazowicza Andronikowa, Nikołaja Nikołajewicza Murawjowa–Karskiego i Nikołaja Nikołajewicza Judenicza³. Obie te książki pełne są zachwyty nad potęgą rosyjskiego oręża, geniuszem wodzów konsekwentnie realizujących w stosunku do ważnych strategicznie terenów wizję imperialną.

Prezentowana trzecia „kaukaska” książka Szyszowa to kolejna praca z serii pod znamennym tytułem „Impierija.RU”, wydawanej przez zdecydowanie narodowo–państwowo zorientowaną oficynę „Wieczie”. Pozycje w jej ramach publikowane układają się w bardzo jednoznaczny obraz, są wyraźnie obliczone na utrzymywanie (pobudzanie) tęsknot wielkomocarstwowych, społecznej aprobaty dla obserwowanej w okresie postjelicynowskim polityki neoimperialnej, powrotu Rosji na pozycję głównego mocarstwa światowego⁴.

¹ Por. <http://publ.lib.ru/ARCHIVES/SH/SHISHOV_Aleksey_Vasil'evich/_Shishov_A._V..html>.

² A. W. Szyszow, *Schwatka za Kawkaz. XVI–XXI wieka*, Moskwa 2007.

³ Idem, *Polkowodcy kawkazskich wojn*, Moskwa 2002 i wydanie drugie, Moskwa 2003, znacznie rozszerzone (z 358 stron do 559).

⁴ Por. moją recenzję z innej pracy wydanej w ramach tej serii: Je. W. Jakowlewa, *Polsza protiv SSSR 1939–1950*, Izdatielskij dom „Wieczie”, Moskwa 2007, „Dzieje Najnowsze”, 2008, nr 1, s. 239–250. Zob. też: *Rodowód II*, „Biuletyn Informacyjny Stowarzyszenia «Katyń» w Szczecinie”, I–III 2009, nr 17, s. 68–76.

Szyszwow jest znanym historykiem, czy — precyzyjniej mówiąc — pisarzem historycznym, jako że krąg tematyczny jego książek obejmuje całość dziejów Rusi/Rosji/ZSRR. Dominują wśród nich biografie wodzów i publikacje poświęcone wojnom, pisane w duchu: ku pokrzepieniu serc. Przeprowadza w nich dowód wielkiej światłej potęgi myśli i czynu Rosji, przez wieki szerzącej — wbrew knowaniom podstępnych sąsiadów⁵ — misję cywilizacyjną, ład pokojowy i gospodarczy, bez specjalnego ukrywania, iż był on i jest oparty na zbrojnej aneksji coraz to nowych tzw. okrain (rubieży). W swych interpretacjach może więc być irytujący, niemniej w odróżnieniu od szeregu innych nie przekracza w tej wielkoruskiej dumie barier przyzwyczajenia, stara się przynajmniej w narracji wydarzeniowej być w zgodzie z prawdą historyczną.

Wykład pracy podzielony został na dziesięć rozdziałów numerowanych cyframi arabskimi i jedenasty numerowany cyframi rzymskimi. Zabieg ten jest nieprzypadkowy, wskazuje — co potwierdza narracja — że książka została złożona do druku w początkach 2008 r. w formule dziesięciu rozdziałów, a rozdział ostatni, o wojnie gruzińsko-rosyjskiej, został dopisany w ostatniej chwili, pod presją wydarzeń bezwzględnie wymagających uwzględnienia.

Po ogólnikowym „Wstępie”, pracę otwiera zdecydowanie najobszerniejszy z rozdziałów traktujący o rozłożonej na wiele lat (1801–1864) aneksji Gruzji. Zawiera on m.in. szczegółowy opis wydarzeń, które doprowadziły do podpisania w lipcu 1783 r. przez Rosję oraz zjednoczone królestwa Kartlii i Kachetii traktatu o przymierzu i protekcji, tzw. traktatu georgijewskiego. Zagrożone prowincje Gruzji wschodniej, za cenę rezygnacji z części suwerenności w zakresie polityki zagranicznej, usiłowały przymierzem tym wzmocnić swą pozycję wobec agresywnych sąsiadów, Turcji i Persji. Rosja zobowiązała się chronić ich niepodległość i w wypadku zbrojnego wystąpienia państw islamskich pospieszyć im z pomocą wojskową. W Tbilisi nie doceniono jednak imperialnej zachłanności polityki rosyjskiej, co w krótkim czasie doprowadziło do tragedii aneksji — w 1801 r. Kartlii i Kachetii, a następnie stopniowo kolejnych królestw i księstw gruzińskich. Proces ten Autor opisuje nie jako aneksję Gruzji, ale jej... drogę do cywilizacji. Kierował tym dokonywanym na raty podbojem renegat, książę gruziński w służbie rosyjskiej generał Pawło Ciciszwili alias Paweł Dmitrijewicz Cycanow. Autor określa go jako konkwistadora, który „po zawarciu wiadomych układów [przede wszystkim traktat georgijewski — W. M.] siłą oręża bądź groźbą jego użycia rozszerzył granice Imperium” (s. 100).

Kolejny rozdział omawia dokonany w latach 1817–1864 podbój ziem Północnego Kaukazu, nazwany przez Autora „najdłuższą wojną, jaką kiedykolwiek prowadziła Rosja”. Nie ukrywa on, iż po dziś dzień także w samej historiografii rosyjskiej toczy się spór o ocenę tej kampanii, szczególnie dokonanej przez wojska Aleksandra Suworowa aneksji ziem na południowym brzegu rzeki Kubań. To zdaniem Autora przejawy tendencyjnego pojmowania historii, nie ulega bowiem kwestii, że kilkudziesięcioletnia „wojna kaukaska” odegrała ogromnie pozytywną rolę. W czasach względnego pokoju po Kongresie Wiedeńskim stanowiła nieoceniony poligon szkolenia kadry dowódczej i żołnierza rosyjskiego, utrzymywania armii na odpowiednim poziomie gotowości bojowej⁶. Zarazem, w jej rezultacie, szczególnie po podboju Kubania i Czerkiesji, powstała „kaukaska linia umocnień”, stanowiąca naturalną „granice mocarstwowej Rosji” (s. 102).

⁵ Por. A. W. Szyszwow, *Rossija i Japonija. Istorija wojennych konfliktow*, Moskwa 2001; idem, *Niezwiestnyje stranicy Russko-Japonskoj wojny*, Moskwa 2004; idem, *Gołgofa Rossijskoj imperii*, Moskwa 2005; idem, *Wragi Rossii. S driennych wriemien do naszych dniej*, Moskwa 2007.

⁶ Podobną ocenę zob. A. A. Kiersnowskij, *Istorija russkoj armii*, t. II (b.m.d.), s. 124–126 („wojna ta [...] pozwoliła zachować nieśmiertelne tradycje, rozpalila jaskrawym płomieniem gasnący kaganek”).

Kolejna partia tekstu dotyczy włączenia do Rosji odebranych Persji w wyniku kampanii 1827–1828 ziem wschodniej Armenii (chanat erywański). Teheran został zarazem zmuszony do zrzeczenia się pretensji do północnego Azerbejdżanu, co stworzyło genezę jego późniejszej niepodległości (pierwszej w latach 1918–1920 i drugiej, po rozpadzie ZSRR). Błyskotliwą kampanię, w cieniu zagrożenia tureckiego, przeprowadziły wojska dowodzone przez księcia Iwana Paskiewicza, który za swe zasługi otrzymał przydomek „Erywański”. Jak z satysfakcją konkluduje Autor, Persja skutecznie została pozbawiona złudzeń co do swych „kaukaskich pomysłów” (s. 160).

Rozdział czwarty ściśle nawiązuje do drugiego, dotyczy kierowanej przez namiestnika Kaukazu hrabiego Michaiła Woroncowa tzw. ekspedycji dargińskiej⁷ z 1845 r., która — zdaniem nie tylko Szyszowa — stanowiła „apogeum wojny kaukaskiej” (s. 161). Poniesiona przez Woroncowa w konfrontacji z plemionami kaukaskimi (Czeczenia, górny Dagestan) dowodzonymi przez imama Osmana Szamila klęska (5 tys. zabitych) wywołała w Rosji szok, a dla górali kaukaskich po dziś dzień stanowi powód do dumy. Tę klęskę Szyszow uznaje za po części wynik nieudolności dowództwa, presji oczekiwanego odeń szybkiego sukcesu, ale zarazem epizod „niejasny, głęboko tajemniczy”, stanowiący wciąż przedmiot sporów i dociekań. Klęska dargińska spowodowała, iż od 1845 (1848) r. wojna w Czeczenii i Dagestanie zaczęła być traktowana w Rosji bardzo poważnie, a przeciwnik doceniany, a nawet przeceńniany. Rozpoczęło się realizowanie taktyki „krok po kroku”, która doprowadziła po kilkunastu kolejnych latach, w 1859 r., do obalenia państwa dagestańskiego (imamatu) i uwięzienia jego twórcy, Szamila. Rosja, jak podkreśla Szyszow, potraktowała pokonanego „w sposób skrajnie łaskawy” (*samym miłostiwym obrazom*, s. 199), demonstrując góralom kaukaskim swą wielkoduszność, jakoby ich siebie zjednując.

Teza pierwszych czterech rozdziałów, artykułowana kilkakrotnie, bez najmniejszych zahamowań, sprowadza się do następującej konstatacji. Kaukaz i Zakaukazie nigdy nie stanowiły dla Rosji celu samego w sobie. Jednakże przez te terytoria biegła jej naturalna droga na Wschód [?]. Podążając nią Rosja niosła narodom pokój i ratunek przed zniewoleniem przez inne państwa. Dzięki obecności jej wojsk, a następnie (po aneksji) jej administracji mogły one uniknąć wojen domowych i popadania w niewolnictwo. Zarazem wraz z rosyjską obecnością dobiegło kresu utrzymywanie się w nich barbarzyńskich zwyczajów. Szyszow, niejako usprawiedliwiając okrutny, krwawy przebieg podboju przez Rosję ziem Kaukazu i Zakaukazia, stwierdza, iż „walczyć z barbarzyńcami, narzucać im poddaństwo rosyjskie można było także tylko metodami barbarzyńskimi”, jako że „w Azji wszystkie perswazje i rozmowy to w istocie nic, a siła — wszystko” (s. 24).

Nie podejmując polemiki z tymi stwierdzeniami, zaznaczę tylko, iż państwowość części tych „barbarzyńców” — Gruzinów i Ormian — sięga początków naszej ery, a przyjęcie przez nich chrześcijaństwa jako religii państwowej IV w. n.e.

Kolejne rozdziały mniej łączą się z formułą podboju i dotyczą raczej procesu utrzymywania pod ścisłą kontrolą jego zdobyczy. Piąty traktuje o Kaukazie i Zakaukaziu w okresie wojny krymskiej (lata 1853–1856), gdy Turcja podjęła walkę m.in. o uznawane przez nią za historyczną strefę wpływów ziemie rosyjskiego pobraża czarnomorskiego, zamieszkałe głównie przez Gruzinów, Abchazów i Czerkiesów. W tej wojnie z koalicją turecko-brytyjsko-francuską Rosja co prawda przegrała, ale na froncie przeciwko Turcji odniosła szereg sukcesów. Ich symbolem stało się zdobycie po półrocznym oblężeniu Karsu, czego doko-

⁷ Od nazwy dagestańskiego aułu Dargo.

nał dowodzący armią kaukaską Nikołaj Murawjow (odtąd: Murawjow–Karskij)⁸. Zdaniem Szyszowa zademonstrowała narodom kaukaskim, iż tylko na nią mogą liczyć w wypadku agresji ze strony Turcji.

Zagrożenie Imperium Rosyjskiego ze strony „młodoturków” i ich planów panislamskich, sięgających Kazania i Samarkandy, podejmuje Autor w kolejnym rozdziale. Skupia się przede wszystkim na ich aspektach kaukaskich, stanowiących — według niego — oddzielną kartę wojny 1914–1918. Jak stwierdza, panturanizm poniósł na tych ziemiach całkowitą klęskę, za sprawą „niezłomnej woli rosyjskiego generała Nikołaja Judenicza”, którego znakomite opanowanie sztuki wojennej przyniosło pasmo „głośnych, przekonywających zwycięstw” (s. 256). Dzięki armii rosyjskiej ludność tych ziem została uratowana przed zniewoleniem. Co znamienne, panturanizm przetrwał i nawet dziś „można na Wschodzie znaleźć jego zwolenników” (s. 328).

Z rozdziałem tym koreluje następny, dotyczący wojny domowej w Rosji, która „przeszła z Północnego Kaukazu na Zakaukazie” (s. 329). Trudno w tym kontekście nie wytknąć Autorowi, iż to nie wojna „przeszła”, ale przeniosła ją tam Armia Czerwona. Po wyparciu z Północnego Kaukazu „białych” uderzyła przemożnymi siłami na praktycznie bezbronne republiki Zakaukazia, kolejno podbijając i sowietyzując Azerbejdżan (28 IV 1920 r.), Armenię (2 XII 1920 r.) i Gruzję (18 III 1921 r.). Autor nie usiłuje nawet dowodzić, iż wprowadzenie w tych republikach władzy sowieckiej uwarunkowane było ich sytuacją wewnętrzną, która mogłaby legitymizować zmianę ustroju. Po prostu powstała możliwość użycia przez Rosję bolszewicką dostatecznej do tego zadania siły zbrojnej.

Widać to szczególnie wyraźnie w wypadku ataku na Gruzję. W kwestii tej Komitet Centralny partii bolszewików podjął decyzję 14 lutego, a odpowiedni „rewkom”, który zwrócił się o „bratnią pomoc”, powstał w Szulaweri dopiero 16 lutego — czego Autor nawet nie stara się ukrywać (s. 338). Opisuje niemal z zachwytem, jak potężne armie sowieckie dławily opór nielicznych sił zbrojnych Republiki, choć zarazem zauważa bohaterstwo tej obrony, w szczególności ze strony broniących stolicy podchorążych z tbiliskiej Szkoły Wojskowej, zwanej też Korpusem Gruzińskim (s. 340). Pomija natomiast z niewyjaśnionych względów pierwszy atak Armii Czerwonej na Gruzję w początkach maja 1920 r., przerwany z uwagi na zaostrenie się sytuacji na froncie wojny z Polską (ofensywa Wojska Polskiego i armii Ukraińskiej Republiki Ludowej na Kijów). W dalszych partiach tekstu nie ukrywa natomiast, iż społeczeństwo podbitej Gruzji nie pogodziło się z sowietyzacją, że kilkakrotnie podejmowało bezwzględnie stłumione próby powstań narodowowyzwoleńczych (1922, 1923, 1924).

Wzmiankuje też Szyszow o podobnych zrywach (*antisowietskij miatież*) ze strony Czechenów (1925, 1929, 1930, 1932, 1937), aczkolwiek wyraźnie stara się rozmyć prawdę o ich krwawym przebiegu poprzez manipulację danymi statystycznymi (s. 346–349). Charakterystyczne jest np. takie „miękkie” ukazanie przeprowadzonej w 1925 r. brutalnej akcji konfiskaty wszelkiej broni, określenie jej jako operacji... zaprowadzenia pokoju, w interesie miejscowej ludności — mimo iż inni autorzy, nie mniej „patriotycznie” nastawieni, traktują o tych wydarzeniach w sposób dalece bardziej jednoznaczny⁹.

Takim skondensowanym przejawem niewdzięczności narodów Kaukazu w stosunku do Rosji/ZSRR była postawa zajęta przez nie w latach 1941–1945 — w okresie tzw. wielkiej wojny narodowej. Wówczas to w Czechenii i Inguszetii ujawniły się inspirowane przez nie-

⁸ W kończącym wojnę traktacie paryskim musiała jednak zeń ustąpić, odzyskując w zamian Sewastopol.

⁹ Por. w tej kwestii np. I. W. Pychałow, *Za chto Stalin wysielal narody? Stalinckije dieportacyi — priestupnyj proizwol ili sprawiedliwoje wozmiezdie?*, Moskwa 2008, s. 252–262.

miecką agenturę „organizacje podziemne typu faszystowskiego”, powstała cała sieć „okręgów powstańczych” — z centrami w Groznym, Gudermesie i Małgobeku. Szyszow nazywa ich działalność „politycznym kryminalnym bandytyzmem” (s. 351). Decyzja o deportacji tych narodów, a także narodów Kałmućji i Kabardyno–Bałkarii, była więc według niego reakcją zrozumiałą, aczkolwiek wyjątkowo drastyczną. Usunięcie ich z Kaukazu było zdaniem Autora tragedią, trudną wciąż do oceny. Oczywista pozostaje tylko konstatacja samego historycznego faktu deportacji narodów Kaukazu, którego fatalne następstwa odczuwane są — jak stwierdza — po dziś dzień.

Kolejny rozdział pracy dotyczy uznanych przez Autora za następstwa rozpadu Związku Sowieckiego konfliktów wokół Górnego Karabachu, Abchazji i Południowej Osetii. Wszystkie one w ujęciu Szyszowa legitymizują tezę, iż obecność Rosji/ZSRR na Kaukazie i Zakaukaziu stabilizowała sytuację, wygaszała konflikty pomiędzy zamieszkującymi je narodowościami. Gdy tej obecności zabrakło, wszystkie historyczne resentymenty w sposób dramatyczny dały o sobie znać.

Dziesiąty rozdział traktuje o „niewypowiedzianej wojnie w Czeczenii”. Doszło do niej zdaniem Autora w wyniku kolosalnych zaniedbań, niereagowania na napływające od lata 1990 r. z dowództwa wojsk wewnętrznych Północnego Kaukazu i Zakaukazia doniesienia o zbliżającym się w Czeczenii wybuchu, które w Moskwie lekceważono, traktowano jako „skłonność do paniki”. Nie ukrywa mechanizmów korupcyjnych, które spowodowały, iż ogromne ilości uzbrojenia „wyciekły” z magazynów sowieckich/rosyjskich do Czeczenów. Nadto, uznanemu przez centrum za lidera Czeczenów Dżocharowi Dudajewowi na polecenie dowódcy zjednoczonych sił zbrojnych Wspólnoty Państw Niepodległych marszałka Jewgienija Szaposznikowa wydano wiosną 1999 r. połowę wszelkiego pozostającego w Czeczenii uzbrojenia. Sami sobie — zdaje się pisać Szyszow — sprokurowaliśmy tzw. pierwszą wojnę czeczeńską, a w konsekwencji kolejną. Z kontekstu wynika, iż początkowo brak sprecyzowanej polityki wobec Czeczenii, a następnie nazbyt liberalna polityka wobec tego konfliktu sekretarza ds. bezpieczeństwa gen. Aleksandra Lebiedia (pokój z Chasaw–Jurtu, 31 VIII 1996 r.) spowodowały, że problem wymknął się spod wszelkiej kontroli. Sytuacja nadal pozostaje nieopanowana, Czeczenia bowiem wciąż stanowi gniazdo terroryzmu, „będącego w dniu dzisiejszym częścią sieci Al–Kaidy” (s. 407).

Dopisany w ostatniej chwili rozdział¹⁰ o wojnie pięciodniowej z Gruzją w sierpniu 2008 r. określa ją jako wymuszoną reakcję na agresję gruzińską, bez wdawania się w powody, które skłoniły Gruzję do tego dramatycznego kroku. Czytelnik nie dowiaduje się nic o dokonywanych pod parasolem rosyjskich „niebieskich hełmów” (tzw. mirotworcy) czystkach etnicznych, o masowym przyznawaniu Osetyńcom obywatelstwa rosyjskiego. Autor oskarża państwa NATO o forsowne zbrojenie Gruzji, niejako zachęcanie jej tym samym do załatwiania problemów narodowościowych siłą, a nie poprzez kompromis. Rozległą akcją rosyjską, która objęła nawet porty czarnomorskie, nazywa „operacją przymuszenia do pokoju” (s. 415). Całą wojnę rozpatruje przy tym nie tyle w kontekście rosyjsko–gruzińskim, ile próby Zachodu osłabienia pozycji rosyjskich na strategicznym Przesmyku Kaukaskim. Podsumowując jej rezultaty, stwierdza, iż pozwoliła ona poskromić „globalne ambicje supermocarstwa [Stanów Zjednoczonych — W. M.]”, które usiłowało usadowić się na „kaukaskim podbrzuszu współ-

¹⁰ O jego dodaniu już po złożeniu książki do druku świadczy m.in. niepoprawiona, całkowicie nieaktualna konkluzja rozdziału 9, gdzie m.in. czytamy: „Dziś wokół Południowej Osetii prowadzony jest proces negocjacyjny przy pośrednictwie OBWE”. Jak wiadomo, proces ten został przekreślony przez stanowiącą treść dopisanego rozdziału wojnę gruzińsko–rosyjską z sierpnia 2008 r.

czesnej Rosji”. Wykazała zarazem, iż Moskwa zawsze jest gotowa „do obrony życia i godności swoich obywateli, godności swej mocarstwowości” (s. 427).

Całość nie ma „Zakończenia”, które w wypadku zebrania też końcowych poszczególnych rozdziałów byłoby oczywiste: narody Kaukazu i Zakaukazia w ostatnich dwóch stuleciach doświadczyły od Rosji/ZSRR wyłącznie dobrodziejstw, choć świadomość tego była i jest wśród nich znikoma.

Niewielki aneks zawiera tekst traktatu georgijewskiego z 1783 r., a także pięć kolejnych dokumentów dotyczących uruchomionego przez ten traktat procesu (z lat 1783–1810) oraz zapewne dołączone w ostatniej chwili dekrety prezydenta Dmitrija Miedwiediewa z 26 VIII 2008 r. o uznaniu de facto niezawisłości Abchazji i Południowej Osetii przez Federację Rosyjską. Ponieważ dwa tygodnie później Moskwa pospieszyła z ich uznaniem dyplomatycznym de iure (aczkolwiek bardziej stanowi faktycznemu odpowiadałaby formuła inkorporacji), można założyć, iż uzupełnianie tekstu zostało ostatecznie zakończone przez Autora na przełomie sierpnia i września 2008 r.

Dzieląc temat obecności „dwugłowego orła” na Kaukazie w XIX i XX w. na rozdziały, Autor wybrał najbardziej w jego przekonaniu charakterystyczne epizody związane z tematem¹¹. Miał do tego prawo, niemniej wybór niekiedy budzi zastrzeżenia. Trudno np. zrozumieć, dlaczego tematyka lat 1941–1945 sprowadzona została wyłącznie do sprawy Czeczenów i Inguszy, dlaczego np. zabrakło wątku ujawnienia się silnych nastrojów antysowieckich na Zakaukaziu, a także kaukaskich formacji Waffens-SS — tak dobrze pasujących do tezy o niewdzięczności narodów regionu wobec Rosji.

Szyszow, jak wyżej wspomniałem, nie prowadzi badań historycznych, a jedynie dużo czyta i pisze — ku pocieszeniu serc... rosyjskich. To jego książki, a nie niskonakładowe opracowania specjalistyczne kształtują wiedzę społeczną — w omawianym wypadku na temat „misji cywilizacyjnej” Rosji na Kaukazie i Zakaukaziu, umacniają mit „starszego brata”. Tym bardziej iż pisane są bardzo sprawnie, choć — w wypadku omawianej — razi operowanie ogromnymi cytatami z dokumentów, wspomnień, a także opracowań. Czasami wspierają one tezy wykładu, w większości jednak go zastępują. W tym pierwszym wypadku bywa to zasadne, ale i tak sprawia wrażenie ułatwiania sobie zadania pisarskiego. Nic dziwnego, zwłaszcza na wyżej wspomniany fakt wydawania przezeń przeciętnie po 2–3 książki rocznie.

Na marginesie należy zaznaczyć, iż w pracach Szyszowa — przy stałe w nich obecnych zachwytach nad „cywilizującym barbarzyńców” imperializmem rosyjskim — nie ma sentymentów sowieckich. Niejako potwierdza to jego fascynacja osobą poety-dysydenta Iosifa Brodskiego, któremu poświęcił on trzy filmy dokumentalne (scenariusz i współreżyseria): „Progułki s Brodskom” (1994), „Niotkuda s lubowiu. Wspominanija ob. Iosifie Brodskom” (2000) i „Progułki s Brodskom. Diesiat’ let spustia” (2005) oraz „I lażet put’ moj czieriez etot gorod...” (2008).

Wojciech Materski
Warszawa

¹¹ Nigdzie przy tym nie zaznaczył, że ten ptak-dziwo nie pasuje do stanowiącego obszerną część pracy okresu sowieckiego.

Jay Taylor, *The Generalissimo. Chiang Kai-shek and the Struggle for Modern China*, Cambridge Massachusetts and London 2009, The Belknap Press of Harvard University Press, ss. 722, il., mapy

Chciałoby się powiedzieć: nareszcie! — gdyż sytuacja była irytująca, a nawet żenująca. Jeden z najdłużej w XX w. (prawie 50 lat!) rządzących mężów stanu, przywódca najludniejszego kraju świata, człowiek, którego w latach II wojny światowej uznawano (obok Churchilla, Roosevelta i Stalina) za jednego z szefów zwycięskiej koalicji — nie miał naukowej biografii z prawdziwego zdarzenia. Owszem, istniały panegiryki i (znacznie liczniejsze) paszkwile, oficjalny życiorys pióra współpracownika, Hollingtona Tonga (funkcjonujący zresztą w dwóch mocno różnych wersjach), szereg opracowań popularnych, z których najbardziej wartościowym jest liczący już ponad 30 lat wolumin pióra Briana Croziera *The Man Who Lost China* (I wyd. 1976), publicysty ze świetnym wyczuciem historii, ale nie historyka. Ostatnio wyraźne rozczarowanie przyniósł okazały tom Jonathana Fenby'ego *Generalissimo. Chiang Kai-shek and the China He Lost* (London 2003), autora niezdolnego do krytycznego użytkowania zebranego przez siebie materiału, wśród którego niemal zresztą nie było archiwaliów. Dopiero dziś, niemal 35 lat po śmierci, przywódca Republiki Chińskiej i jej Partii Narodowej Kuomintang (KMT) Czang Kaj-szek doczekał się życiorysu spełniającego wszelkie naukowe standardy.

Biografia taka niezbędna była także dlatego, iż żywot mało którego polityka XX w. został do tego stopnia zmystyfikowany. Doświadczony spektakularnego poniżenia z rąk triumfujących na chińskim kontynencie komunistów, zepchnięty na Tajwan Czang traktowany był już za życia jako groteskowa skamielina zimnej wojny. Uznano go za symbol klęski, brutalności, nieudolności i korupcji: obraz taki kreślili nawet dalecy od lewicowych sympatii badacze. Prawie nikt nie zadawał sobie pytania, jak ów „tępy żołdak” zdołał utrzymać się u władzy, a potem przez osiem lat wytrzymać napór miazdząco silniejszej Armii Japońskiej; bijące wprost w oczy, niezwykle sukcesy Tajwanu traktowano jako coś odrębnego od jego prezydenta. Wcześniej od spychanego w niepamięć Czanga naukowych biografii doczekali się — paradoksalnie — jego syn (2000) i żona (2006). Sam, jako autor jedynej w Polsce pracy o Czangu (*Pod wiatr. Czang Kaj-szek*, wyd. Arcana, Kraków 2007), z konieczności w skromnym tylko zakresie opartej na źródłach, z niecierpliwością oczekiwałem na zabranie głosu w tej sprawie przez historyka z prawdziwego zdarzenia. Doczekałem się, a czekać było warto: potężny wolumin *The Generalissimo* nie bez powodu uhonorowany został prestiżową nagrodą Lionel Geber Prize, przyznawaną w Kanadzie za „najwybitniejszą niebeletrystyczną książkę w języku angielskim zmierzającą do pogłębienia publicznej debaty na temat znaczących problemów współczesnego świata”.

Urodzony w 1931 r. Jay Taylor, profesor Fairbank Center for Chinese Studies Uniwersytetu Harvardzkiego (inna rzecz, że patron tej instytucji rehabilitacją Czanga nie byłby uszczęśliwiony), był jednym z lepiej predysponowanych do napisania takiej biografii. Dawny podwładny Departamentu Stanu USA, zajmujący się początkowo polityką zagraniczną ChRL (prace o stosunkach z Indiami i Indochinami), zwrócił na siebie uwagę bardzo pozytywnie przyjętym życiorysem Czang Czing-kuo (Chiang Ching-kuo), syna Czang Kaj-szeka i architektą demokratyzacji Republiki Chińskiej na Tajwanie. Z samym Czangiem seniorem zetknął się, jak potem wspominał, „dwa lub trzy razy”, stacjonując na Tajwanie w latach 60. Oceniał go wówczas jako zgranego dyktatora, „bez zasad, ideałów ani realnych osiągnięć”. Taki aprioryczny werdykt, nawiasem mówiąc, prowokuje pytanie, z jakiego to klucza chińska

sekcja amerykańskiej dyplomacji przydawała współpracowników swojemu tajwańskiemu sojusznikowi.

Taylor wykorzystał szeroko źródła i publikacje chińskie, zarówno te z ChRL, jak i (przede wszystkim) tajwańskie. Spożytkował relacje ludzi z otoczenia Czanga (współpracowników, ale i przeciwników), częściowo nagromadzone w ramach Chinese Oral History Project sponsorowanego przez Columbia University, ale w znacznej części powstałe z jego inicjatywy. (Wyjaśnić warto, uprzedzając nieuchronny sceptycyzm każdego historyka, że większość tych relacji dotyczy relatywnie niedawnego okresu tajwańskiego, a zbierane były one już w latach 80.). Istotnym *novum* w jego biograficznej pracy było wszakże skrupulatne wykorzystanie diariusza Czang Kaj-szeka, od niedawna przechowywanego w fotokopiach w Instytucie Hoovera w kalifornijskim Stanford. Do owego źródła, wysoce subiektywnego, ale przecież jedynego w swym rodzaju, sięgała wcześniej bezpośrednio jedynie garstka historyków (przede wszystkim Ray Huang i Furuya Keiji), a to z uwagi na jego charakter. Chiński przywódca prowadził bowiem dziennik przez 54 lata (sic!; 1918–1972), co wieczór wypełniając klasycznym pismem *wenyan* minimum stronę tekstu. Jest to istna biblioteka, raczej niemożliwa do przełożenia w całości, ale za to dająca — za cenę jej zgłębienia — unikatowy wgląd w umysłowość swego autora.

Prócz chińskich, spenetrował Taylor także archiwalia amerykańskie, przede wszystkim National Archives and Record Administration w Waszyngtonie (słynne NARA), a także osobiste papiery szeregu polityków ze wspomnianego Instytutu Hoovera. Kapitalne znaczenie miało sięgnięcie do rosyjskiego Archiwum Państwowego Historii Społeczno–Politycznej, do obfitej korespondencji moskiewskiej centrali z Komunistyczną Partią Chin. Anglosascy badacze Kraju Środka czynią to bardzo rzadko, a jeśli już, to prawie nigdy nie konfrontują wyników swej kwerendy ze źródłami chińsko i anglojęzycznymi. Warto rzec od razu, że poszukiwania te potwierdziły bardzo niechętnie i od niedawna przyswajaną prawdę o mocnej zależności partii Mao od Kremla aż do 1949 r. Jeśli chce się uniknąć pedantycznego perfekcjonizmu (źródła do działalności Czanga znajdują się także w archiwach japońskich, niemieckich, indyjskich), to Taylorowi można by było wytknąć głównie pominięcie archiwaliów Wielkiej Brytanii, kraju, którego kontakty z władzami chińskimi były — przynajmniej do 1937 r. — żywsze i ściślejsze niż kontakty ZSSR czy USA. Ten mankament pracy nie okazuje się jednak nazbyt dotkliwy — z uwagi na jej konstrukcję.

Poprzednicy Taylora opisywali bowiem Czang Kaj-szeka przede wszystkim jako przywódcę Republiki Chińskiej na kontynencie (a więc lat 1927–1949), przedstawiając ćwierć-wiekowy okres tajwański szkicowo, jako nieistotny epilog. (Ostatnio Jonathan Fenby pominął ów okres całkowicie). Taylor natomiast poświęcił rządowi na wyspie niemal dwieście z sześciuset stron swej narracji (reszta to przypisy), przez wcześniejsze dwieście pięćdziesiąt nakreślając dzieje zmagania z Japonią (1937–1945) oraz katastrofalnej wojny domowej (1945–1949). Na opis wczesnej kariery Czanga i jego dziesięcioletnich rządów w Republice — tak zwanej „dekady nankińskiej” lat 1927–1937, której znaczenie wydaje się coraz bardziej rosnąć — przeznaczono niespełna sto trzydzieści stron! Wyjaśnienie takiej konstrukcji pracy zależnością jej Autora od źródeł amerykańskich i tajwańskich (walczący z Japonią Czang zaczął budzić zainteresowanie Waszyngtonu, widzącego w Tokio potencjalnego przeciwnika nr 1) byłoby wszakże zasadniczym uproszczeniem problemu. Dla Taylora Czang Kaj-szek nie jest bowiem głównie (i jedynie) „człowiekiem, który stracił Chiny” — dodajmy, Chiny stare i bezpowrotnie minione — ustępując miejsca bardziej dynamicznemu następcy. Jest natomiast przywódcą, który w latach II wojny światowej wprowadził Kraj Środka na międzynarodową arenę jako (na razie tylko potencjalnie) wielkie mocarstwo i który potem, na

Tajwanie, kontynuował ich modernizację, kładąc podwaliny pod dzisiejsze, nowoczesne państwo. Nie jest spektakularnym symbolem klęski, ale kimś, kto odniósł nad Mao Zedongiem jak najbardziej realne — acz dopiero pośmiertne — zwycięstwo.

Pierwsza część pracy, o trafnym tytule „Rewolucja”, zaczyna się jednak rozdziałem zatytułowanym już mniej szczęśliwie: „Neokonfucjańska młodość”. Młody Czang odebrał rzeczywiście nader tradycyjną edukację jako dziecko, a z domu wyniósł kult starych konfucjańskich (i, po ukochanej matce, buddyjskich) cnót. Motywowany patriotyzmem wybór studiów wojskowych, i to w „barbarzyńskiej” Japonii, był wszakże świadomym wyzwaniem rzuconym tradycji, uznającej zawód żołnierza za godny pogardy, zaś związanie się z anty-dynastyczną, podziemną konspiracją Sun Yatsena stanowiło opowiedzenie się po stronie radykalnej, skrajnej wówczas mniejszości. Taylor niemal nie porusza, zaciekle však dyskutowanej przez jego poprzedników, kwestii, kiedy właściwie jego bohater formalnie przystąpił do ruchu rewolucyjnego i kiedy po raz pierwszy zobaczył Suna. Konkluduje sucho, że w republikańskiej rewolucji lat 1911–1912 Czang nie mógł odegrać zbyt istotnej roli, skoro — gdy wkrótce fortuna się odwróciła — jego nazwiska zabrakło na ścigających czołowych zwolenników Suna listach proskrypcyjnych (s. 26). Nie rozstrzyga także, czy Czang przystąpił (jak mu to zarzucali jego przeciwnicy) do osławionego szanghajskiego Zielonego Gangu (*Qingbang*), tajnej organizacji zwalczającej dyktaturę Yuan Shikaia, ale parającej się także działalnością mafijną; zauważa tylko (słusznie) że z *Qingbang* współpracowało wielu rewolucjonistów, w tym i Sun Yatsen. Gdyby znał akta policji brytyjskiej z *settlementu* w Szanghaju, mógłby stwierdzić, że żadnych danych stwierdzających bezspornie członkostwo Czanga nie znaleziono. Trafnie natomiast akcentuje fakt, iż Czang jako jeden z niewielu pozostał Sunowi wierny w katastrofalnych dla KMT latach 1914–1922, a punktem zwrotnym w jego karierze było uratowanie życia przywódcy rewolucjonistów, gdy warlord Chen Jiongming spalił jego rezydencję w Kantonie (s. 41). Zaskakuje poświęcenie tylko jednej strony sławnej misji do ZSSR w roku 1923, przypieczętowującej początek burzliwej współpracy chińskich rewolucjonistów z bolszewikami. Taylor akcentuje fakt, iż Czang ową współpracę popierał, niedowierzająco napomykając o jego wątpliwościach, znanych jakoby tylko z kwestionowanego listu do partyjnego kolegi Liao Zhongkaia. Otóż obawy owe (że bolszewicy chcą oderwać od Chin ich kresy i zsovietyzować resztę) wyrażane były także w słanych z samego Kraju Sowieców listach do żony.

Zgodnie ze swą koncepcją pracy Taylor traktuje niezmiernie skrótowo kwestię tzw. warlordów, czyli gubernatorów wojskowych, którzy po 1916 r. spowodowali rozpad Chin na niemal niezależne satrapie. Zwalczenie tej plagi drogą zjednoczenia kraju było główną (obok reform) misją Kuomintangu i powodem jego sojuszu z komunistami. Tymczasem w książce nie ma mapy zjednoczeniowej Ekspedycji Północnej lat 1926–1928, walki opisane są szkicowo, nazwisko słynnego Wu Peifu, głównego przeciwnika militarnej Ekspedycji, w ogóle nie pada, a władca Pekinu, równie sławny marszałek Zhang Zuolin, wzmiankowany jest raptem cztery razy. Koncentracja na nabrzmiewającym konflikcie między KMT a komunistami pozwala Autorowi napisać, iż „trwająca 22 lata chińska wojna domowa zaczęła się w Szanghaju we wczesnych godzinach rannych 12 kwietnia 1927 r.” (s. 66). Jest to prawda odnośnie do walki nacjonalistów z komunistami, zdezorientowany czytelnik może jednak zapytać: czy to jednak nie z Chińczykami armie nacjonalistów (mające też członków KPCh w swych szeregach) walczyły całe lata wcześniej? Równie zdawkowo potraktowano stosunek mocarstw do Ekspedycji Północnej, aczkolwiek miał on kapitalne znaczenie, a w pewnym momencie tylko krok zdawał się dzielić Kuomintang od potencjalnie katastrofalnej wojny z Brytyjczykami.

Taylor wszelako skoncentrował się na roli Czanga jako przywódcy państwa i partii usiłującego modernizować Chiny, a jednocześnie zagrożonego z dwóch stron: przez wspieraną z Kremla, zepchniętą w interior KPCh oraz przez napierających z północy Japończyków. Wybór ten ma sens z uwagi na długotrwałe trendy polityczne, aczkolwiek przesłania fakt, że w latach 1927–1937 rewolty armii wiedzionych przez ocalałych warlordów były dla całości reżimu znacznie większym wyzwaniem niż podwładni Mao Zedonga. Bardzo trafnie i przekonująco rozprawia się natomiast Taylor z rozmaitymi mitami dotyczącymi reżimu Czanga. Ukazuje (lojalnie powołując się na ustalenia Parksa M. Coble'a), iż kapitaliści nie grali żadnej roli w Kuomintangu, który biznesmenów bezlitośnie eksploatował. Udowadnia też, że sam Czang nigdy, aż do 1949 r., nie zdobył dyktatorskiej władzy ani nad państwem, ani nad partią, ani nad armią, dzieląc ją z autorytarnym kierownictwem KMT, i że reżim, choć brutalny, nie potrafił nawet zamknąć wrogich mu tytułów prasowych (choć potrafił skrytobójczo mordować niektórych dziennikarzy). Wbrew pokutującym do dziś opiniom, wskazuje, iż bohater biografii „nie był faszystą ani w celach, ani w środkach”, w jego diariuszu brak choćby wzmianki o Hitlerze (za to na co drugiej stronie przywoływany jest Jezus Chrystus), a rzekome wypowiedzi chwalcące faszystów i nazistów są apokryfami. Rzeczywiście faszyzujący, wewnątrzpartyjny nurt Niebieskich Koszul nie był organizacją masową, ale ledwie trzystuosobową tajną grupą, o której istnieniu mało kto w Chinach wiedział. Owszem, w latach 30. Czang zatrudniał wojskowych instruktorów z Niemiec (podobnie jak wcześniej i później — z ZSSR), ale powodem był ich profesjonalizm oraz polityczna bezsilność Berlina na Dalekim Wschodzie. W tym miejscu Taylor złośliwie, ale trafnie dorzuca, iż instruktorom niemieckim (i innym) Czang musiał płacić, podczas gdy jego komunistyczni wrogowie pobierali pieniądze od obcego mocarstwa (s. 101). Nawet sławny Długi Marsz, jak udowadnia, odbył się za fundusze z Kremla.

Piętnowane często jako okres zastoju lata 1927–1937 były w istocie „czasem wielkiego postępu na licznych polach” (s. 121). Szkoda, że Autor pisze na ten temat tak zwięźle, nie odsyłając nawet do odpowiednich monografii (piór Roberta Bedeskiego, Thomasa Rawskiego, Julii Strauss). Przedstawia natomiast szeroko zagrożenie japońskie i dramat Czanga, rozumiejącego świetnie słabość Chin, a jednocześnie wzywane go przez przeciwników (często z pełnym cynizmem) do natychmiastowego przeciwstawienia się Tokio. Dla linii politycznej przywódcy KMT, długo szukającego jakiegoś *modus vivendi* z Japonią, a potem tylko odwlekającego nieuchronne starcie, żadnej alternatywy nie było. Niestety, przed finalną konfrontacją nie udało się zniszczyć partii Mao, choć zabrakło do tego niewiele. Opisując sławny, lecz wciąż dość tajemniczy „incydent w Xi'anie” (1936), gdzie warlord Zhang Xueliang w porozumieniu z komunistami aresztował Czang Kaj-szeka, Taylor dość niespodziewanie konkluduje, że owo porwanie „nie zmieniło historii”, skoro już przed nim gotowało się antyjapońskie porozumienie Czanga ze Stalinem i jego chińskimi towarzyszami. Brzmi to dość dziwnie, gdyż obok jednym tchem przyznaje, iż bez Xi'anu Mao ze swą armią „prawdopodobnie byłby zmuszony szukać schronienia na Syberii lub w [sowieckiej] Mongolii Zewnętrznej” (s. 136). Innymi słowy, istniałaby współpraca chińsko-sowiecka, ale nie chiński komunizm jako siła polityczna. Za to sensacyjny posmak ma wiadomość, że bawiący wówczas w Europie antagonistą Czanga w partii Wang Jingwei na wieść o „incydencie” spotkał się z Hitlerem, dyskutując o reorientacji polityki chińskiej. Rzuca to wiele światła na postawę Moskwy, która skutecznie parła do zwolnienia Czanga (s. 130 i n.).

W drugiej części pracy, traktującej o antyjapońskiej wojnie, Taylor sumiennie udokumentowuje to, co wiadomo już z ustaleń kilku badaczy (ostatnio Hansa van de Vena), ale co z ogromnym trudem toruje sobie drogę do podręczników. A mianowicie, że Kuomintang

Czanga, a nie KPCh Mao Zedonga, był główną i niemal jedyną siłą w Chinach stawiającą nieprzerwanie — i kosztem ogromnych ofiar — opór Japonii. Na tle tych ustaleń oskarżenia chińskich nacjonalistów o „pozorowanie walki” przestają być po prostu fałszywe. Stają się haniebne, jako sformułowane przez tych, którzy walkę nieraz naprawdę pozorowali. Porażająca jest wymowa cytowanego na s. 169 raportu Zhou Enlaia dla Stalina ze stycznia 1940 r., iż w trzecim roku wojny, która zabiła już ponad milion chińskich żołnierzy, straty dwóch komunistycznych armii to nieco ponad 30 tysięcy (czyli 3% ogółu). Potem, w latach 1940–1944, kiedy to komuniści twierdzili, że ponoszą główny ciężar walk, zginęło ich, wedle tychże raportów, zaledwie 70 tys. (z prawie milionowej już armii!; s. 298). Innymi słowy, w czasie, gdy Japończycy druzgotali wzniesione z takim trudem przez Czang Kaj-szeka państwo, lekko tylko uwikłani w zmagania komuniści zajmowali się głównie tworzeniem własnego.

Problem, o którym mowa, wykracza wszakże poza casus komunistycznej propagandy — ponieważ mit o Czang Kaj-szoku „niezainteresowanym wojną z Japonią” (a jedynie zwalczaniem „czerwonych”) szerzyli nie tylko agenci Kominternu, ale także dyplomaci i wojskowi amerykańscy. W rzeczy samej, począwszy od 1941 r., stosunki Czanga z Amerykanami stają się główną kwestią omawianą przez Taylora. Jest to lektura frapująca — i przygnębiająca. Prawda: Autor słusznie ukazuje, jak administracja Roosevelta, w imię własnych politycznych rachub, przyczyniła się niemal samotnie do uznania Republiki Chińskiej za supermocarstwo *in spe*. Poza tym jednak poczynania podwładnych Roosevelta w Chinach (oraz jego samego) były niejednokrotnie pokazem arogancji, niezgrabności i (nie da się uniknąć tego słowa) głupoty. Postacią najbardziej szkodliwą był wykreowany przez media na bohatera i przydany Czangowi na szefa sztabu gen. Joseph Stilwell, którego działalność bez cienia przesady legła u podwalin powojennego triumfu komunistów chińskich. Taylor, który stara się konsekwentnie unikać ostrych sądów, przez prawie dwieście stron ilustruje, jak gloryfikowany potem przez lewicę „Octowy Józio” intrygował i kłamał, by oczernić Czanga, a przez to zrujnować stosunki amerykańsko-chińskie. Choć ostatecznie (grubo za późno) wyrzucony z Kraju Środka, wygrał pośmiertnie, narzucając pokoleniom badaczy wizję wypadków wykreowaną nie tyle przez siebie, ile przez otaczające go grono sympatyków Mao. Po tym piarowskim ciosie „generalissimus i jego reżim nigdy się w pełni nie podnieśli” (s. 295). Taylor pisze o tym taktownie, a nawet — jako były podkomendny Departamentu Stanu — chyba aż nadto taktownie. Na przykład potępiając fatalną rolę odegraną przez osobistego wysłannika prezydenta do Chin, Lauchlina Currie’a, pisze, iż był on agentem wpływu Moskwy, ale nie opłacanym szpiegiem, choć są już opracowania (Johna Haynesa, Harleya Kehra i znane „archiwum Mitrochina”) przecinające wątpliwości w tej materii. To samo rzecz można o innym przysłanym przez Roosevelta „doradcy”, profesorze Owenie Lattimorze, którego „całkowicie fałszywie” (s. 631) uznać miał za zdrajcę znany senator Joe McCarthy. Otóż aczkolwiek Lattimore (inaczej niż Currie) nie był formalnie zwerbowany przez Kreml, o choczko i dobrowolnie stał się narzędziem Stalina. Z drugiej strony agentami na pewno nie byli tacy pracownicy ambasady USA w Chinach, jak John Paton Davies i John S. Service, konsekwentnie informujący Waszyngton, iż celem komunistów chińskich (w przeciwieństwie do „skorumpanowanego dyktatora Czanga”) jest „po prostu demokracja... bardziej amerykańska niż rosyjska w duchu”. Taylor, wytknąwszy, iż obaj fałszowali rzeczywistość, oznajmia jednak, iż ci jego koledzy (obu w latach młodości mógł jeszcze spotkać w służbie!) „byli to inteligentni, patriotyczni i oddani Amerykanie, widzący w skutecznym rozstrzygnięciu wojny z Japonią odsuwający wszystko na bok cel, w którym chińscy komuniści jeśli mogli pomóc, tym lepiej” (s. 220). Problem jednak w tym, że cytowane przez Taylora raporty dowodzą — jak w znanym dowcipie — że owi dyplomaci mogli być tylko albo inteligentni, albo patriotyczni, nie mogli wszakże posiadać obu tych przymiotów jednocześnie.

Nad dyplomatami oraz generałami stali wszakże sam Roosevelt i jego prawa ręka w sprawach wojny, generał George C. Marshall. Praca Taylora zawiera druzgocący (choć znów niewyrażony wprost) werdykt na temat Roosevelta — męża stanu; warto w tym momencie przypomnieć, że obok Polski właśnie Chiny były główną ofiarą porozumień jałtańskich. Wszelako Marshall — który w latach wojny zwalczał Czang Kaj-szeka jako protektor swego przyjaciela Stilwella — miał mieć jeszcze przed sobą ogromną karierę *stricte* polityczną, na odcinku chińskim niestety bardzo niefortunną. W *The Generalissimo* rola ta przedstawiona została nader specyficznie. Autor, pełen rewerencji dla Marshalla, „zawsze oficera i dżentelmena”, stwierdził iż Czang Kaj-szek i generał, acz ich drogi się rozeszły, zachowali dla siebie „wzajemny szacunek i nawet powściągliwą sympatię” (s. 366). Tej budującej opinii zaprzecza później sam, poprzez odpowiednie cytaty z diariusza Czanga (np. s. 388, 452). Nade wszystko przeczy jej jednak trzecia część pracy, poświęcona katastrofie rządów KMT na kontynencie. Ukazuje ona po pierwsze — znów w jaskrawym przeciwieństwie do stereotypów — „zasadniczą (*essential*) rolę Sowietów w znakomitym triumfie Mao” (s. 415). Po drugie jednak wskazuje, że powodem klęski był (na przekór podręcznikom) brak znaczącej pomocy ze strony USA. Ich „specjalny wysłannik i mediator” generał Marshall pchał Czanga do porozumienia z komunistami, nie chciał widzieć pomocy sowieckiej dla Mao i wreszcie jak najdosłowniej uratował tego ostatniego, powstrzymując w maju 1946 r. ofensywę nacjonalistów w Mandżurii, choć wódz KPCh wydał już (potem pospiesznie odwołane) rozkazy o wycofaniu swego wojska do ZSSR. Taylor jedynie półgębkiem (s. 352 i 375) wspomina, iż USA nałożyły embargo na broń na walczące Chiny Czanga, choć takie curiosum, jak odcięcie pomocy dla sojusznika czasu zimnej wojny za karę za to, że zwalcza on zbrojnie komunistów, zasługiwałoby chyba na mocniejsze zaakcentowanie. Słusznie pisze za to, iż „dla Marshalla jedynymi opcjami wydawała się bierność lub kontynuacja najwyraźniej jałowego wysiłku dążenia do pokojowego, demokratycznego i koalicyjnego rządu [w Chinach]. Nigdy nie rozważał trzeciej opcji: pełnego poparcia materialnego ze strony USA, aby pomóc Czangowi utrzymać Chiny Północne lub Chiny na południe od Yangzi” (s. 355). W rezultacie mediator i jego zwierzchnik Truman doczekali się czegoś, co było — bez cienia przesady — największą klęską polityczną Waszyngtonu w XX w. Błędy samego Czanga, choć fatalne, odegrały rolę drugorzędą. Jego politycznym potknięciem na wewnątrzchińskiej scenie, szczegółowo ongiś analizowanym przez Suzanne Pepper, Taylor poświęca mało miejsca, skoro pozbawione sił zbrojnych chińskie partie „trzeciej siły” (inne niż KMT i KPCh) miały kanapowy charakter i były pozbawione wpływów w społeczeństwie. Nie poświęca też — warto to podkreślić — żadnej prawie uwagi tak hołubionej ongiś przez historyków kwestii agrarnej. Jej rzekomy wpływ na zmagania to (jak się dziś coraz częściej przyjmuje) wymysł komunistycznej propagandy: wojnę rozstrzygnęły nie „serca i umysły” wieśniaków, lecz armaty.

Ostatnia, „tajwańska” część pracy jest największym wkładem Taylora w biografię Czang Kaj-szeka. Na wyspie podstawą strategii prezydenta miało się stać od początku założenie, iż „komunizm na kontynencie wcześniej czy później upadnie, a jego i jego syna misją jest stworzenie z Tajwanu modelu, ukazującego światu, a zwłaszcza rodakom z kontynentu, «właściwą drogę» dla Chin, jak spełnić sen o wielkim, odbudowanym narodzie” (s. 534). Zapowiadany stale, powtarzany niczym mantra, zbrojny „powrót na kontynent” miał być od początku jedynie blefem, „sprawą pozorów, języka, psychologii i wewnętrznego morale” na wyspie (s. 515). Ta ostatnia opinia nie wydaje się do końca przekonująca; pewne jest, iż — wobec istniejącego stosunku sił — taki kontratak uzależniony musiałby być nie tylko od załamania się reżimu Mao, ale także od logistycznego i politycznego poparcia amerykańskiego, czyli tego, czego kolejne ekipy w USA konsekwentnie Tajwanowi odmawiały. (Ma więc

rację Taylor, że w realność przygotowań do „powrotu na kontynent” uwierzono przynajmniej w Waszyngtonie). Sukcesy ekonomiczne reżimu obu Czangów, które stały się natchnieniem dla późniejszych reform w ChRL, są dziś powszechnie znane i podziwiane; nie ma powodu, by się nie zgodzić z opinią, że gdyby Kuomintang kontrolował kontynent, wprowadziłby podobne reformy (s. 485). Autor wytyka obu Czangom represje, wskazując wszakże, że dotyczyły one głównie zwolenników oderwania wyspy od każdego Chin, czyli ludzi, których prześladowaliby także (ale na pewno srożej) i komuniści. Przez wiele stron dowodzi również, że (z istotnym wyjątkiem gen. Douglasa MacArthura) Czang nie miał złudzeń co do swych amerykańskich „przyjaciół”, z których ostatni, Richard Nixon, porzucił go, dążąc dla porozumienia z Mao.

Fascynujący (ale i bardzo kontrowersyjny) jest wątek o sekretnych kontaktach władz tajwańskich z komunistycznym Pekinem, których celem miało być niedopuszczenie do wykrewowania z Tajwanu odrębnego od Chin (nie mylić z ChRL!) państwa. Bohaterem tego wątku jest Zhou Enlai, do którego Taylor ma stosunek wymagający komentarza. Otóż nie jest tajemnicą, iż Czang Kaj-szek żywił trudno wytłumaczalną (i nieuleczalną) słabość do Zhou. Cichcem ocalił go (na własną ciężką szkodę) z nakazanych w 1927 r. w Szanghaju rzezi i do końca życia wyróżniał jako „rozsądnego komunistę”. Chodzi o to, że owej słabości uległ i biograf Czanga, od początku swej książki podtrzymując mit eleganckiego mandaryna, który zawsze, nawet ryzykując konflikt z Mao, dążył do kompromisu, brzydził się ekstremizmem i nawet po drugiej stronie barykady gotów był do tajnych kontaktów z rodakiem „dla dobra ojczyzny”. Trwaniu owego mitu sprzyjał przez lata brak naukowej biografii Zhou Enlaia. Rzecz w tym jednak, iż na trzy lata przed pracą Taylora opracowanie takie (B. Barnouin, Yu Changgen, *Zhou Enlai. A Political Life*, Hong Kong 2006) w końcu się pojawiło. Wyłania się z niego obraz oportunisty politycznego, jeśli nie wręcz tchórza — i może dlatego pracy tej Autor *The Generalissimo* nie zauważył. Nie zmienia to faktu, że opisane przez niego supertajne kontakty Tajpei i Pekinu istniały — tyle tylko, że ze strony komunistycznej musiał je zatwierdzać (a może i inicjować) sam Mao Zedong. Kontrast eleganckiego Zhou z ordynarnym Mao dotyczył tylko wizerunku — obaj byli dwiema twarzami jednego (w sumie dość kosztownego) zjawiska.

W zakrojonej na ogromną skalę pracy zdarzają się błędy. Zapewne chochlik drukarski cofnął o rok — z prawidłowego 23 VI 1925 — datę sławnej masakry na wysepce Shameen (s. 49; z kontekstu narracji wynika jasno, że miała ona miejsce po szanghajskich starciach z maja 1925 r.). W zderzeniu z Chińczykami w Jinanie w maju 1928 r. Japończycy nie stracili „jedynie trzydziestu siedmiu ludzi” (s. 82), ale co najmniej 236; by to stwierdzić, należało sięgnąć do biografii ówczesnego premiera Tanaki Giichi, pióra Williama F. Mortona (Folkestone 1980). W lipcu 1937 r. gen. Tojo Hideki nie był szefem sztabu całej japońskiej Armii Cesarskiej, ale jedynie jej części, Armii Kwantuńskiej (s. 146). Miasto Qingdao, wymienione w tej formie na s. 372, występuje wcześniej w starej transkrypcji jako Tsingtao (s. 352). Nie jest prawdą, że komuniści trzymali przez 25 lat w więzieniu pokonanego w 1949 r. pod Xuzhou gen. Du Yuminga, gdyż z powodu powiązań rodzinnych ułaskawiono go w 1959 r.; Taylor pomylił go z więzionym rzeczywiście przez ówczesny podwładnym Du z tejże bitwy, gen. Huang Weiem (s. 400). Zabawnie (niejeden Środkowoeuropejczyk rzekłby: typowo dla Amerykanina) brzmi informacja, że Nixon proponował prezydentowi Ceaușescu pośrednictwo w swych kontaktach z Chinami podczas wizyty „in Sofia” (s. 540), skoro „geniusz Karpat” był Rumunem (pedant dorzuciłby przy tym, że tzw. sedyłka przy odpowiednim nazwisku została postawiona w złym miejscu). Owe potknięcia mają jednak

w sumie drugorzędny charakter i — co najważniejsze — w żaden sposób nie wpływają na zasadnicze tezy pracy.

Taylor poświęca nieco miejsca osobistemu życiu swego bohatera, do czego — jako biograf jedyne go biologicznego syna Czanga — był dobrze przygotowany. Potwierdza, że lider KMT był w młodości złym mężem i kiepskim ojcem, później przechodząc wszelako daleko posuniętą metamorfozę. Przedstawia poważne poszlaki, iż Chen Jieru, uważana dość powszechnie za (cynicznie porzuconą) drugą żonę Czanga, nigdy nie była jego pełnoprawną małżonką. Przekonująco dowodzi za to, że ostateczny, długotrwały związek prezydenta z Song Meiling, otaczany potem chmurą plotek i nonsensów (nigdy niedopełnione, „białe” małżeństwo; małżeństwo pełne obopólnych zdrad; małżeństwo dla pieniędzy), był związkiem dobranym i szczęśliwym. Elegancka i wykształcona w USA Meiling, której mąż publicznie wręczał kwiaty i którą trzymał za rękę (trzeba znać realia ówczesnych Chin, by pojąć szok odczuwany przez otoczenie), była oddaną — acz nie bezkrytyczną — współpracowniczką, mającą ważny i pozytywny wpływ na poczynania Czanga. „Dla «Kaia», chłopca z Xikou, starego romantyka, bez względu na napięcia i trudności pozostała wielką nagrodą” (s. 425). Mąż pod jej wpływem został w wieku 42 lat żarliwym — co dokumentuje dziariusz — chrześcijaninem. Sytuacja istniejąca w rodzinie Czanga stała się stopniowo wręcz antytezą wilczych stosunków panujących w rodzinie jego wroga Mao Zedonga. Taylor podkreśla, że nawet przeciwnicy prezydenta doceniali jego „stalową wolę, odwagę, patriotyzm, poczucie honoru i, nade wszystko, jego antykomunizm” (s. 590). Osobiście był człowiekiem nieposzlakowanym: uderza epizod z katastrofalnego 1949 r., gdy uznał, że brak mu pieniędzy dla ewentualnego ulokowania rodziny za granicą — w czasie, gdy przewoził na Tajwan zapasy złota Republiki (s. 399). Jego biograf, zauważając słusznie, iż Czang „nie rozumiał demokracji” (dodajmy: jak niemal wszyscy w ówczesnych Chinach), wytyka mu jednak „moralną ślepotę” co do losu ofiar kuomintangowskich represji i dorzuca, powołując się na dziariusz, że Czang miał trudności z wczuciem się w położenie zwykłych ludzi. Być może nie napisałby tak, gdyby uważniej przeczytał zapisy z dziennika swego bohatera, np. z 3 III 1918 r. (współczucie dla bitych dziewcząt chińskich, zupełnie niesamowite w owej epoce) czy 21 X 1922 r. (refleksje nad ciężkim losem robotników Szanghaju).

Reasumując, biografia Czanga pióra Taylora jest lekturą pasjonującą i zawiera przekonującą (choć miejscami kontrowersyjną) wizję. Obraz ten — co piszący te słowa zauważa nie bez cichej satysfakcji — mimo odmiennych proporcji i innego rozłożenia akcentów nie odbiega zasadniczo od wizerunku zaproponowanego przeze mnie w tomie *Pod wiatr*. Obecnie, gdy Tajwan stanowi niedościgły wzór dla modernizującego się kontynentu, gdzie komunistyczne hasła stały się jedynie pustą skorupą, każdy chyba podpisałby się pod ostatnimi słowami pracy Jaya Taylora. Brzmiały one: „W istocie wizja, która wprowadza Chiny w dwudziesty pierwszy wiek, jest wizją Czang Kaj-szeka, nie Mao Zedonga”.

Jakub Polit
Kraków

Ołeksandr Iljin, Serhij Szandruk, Petro Mazur, Arsen Hudyma, *Za tebe, Ukraino... Z archiwu wjazniw konctaboru Bereza–Kartużka (1934–1935) czasiw II Riczi Pospołytoji Polskoji*, Ternopil 2010, Hałyckij instytut imeni Wjaczesława Czornowoła, ss. 252

Dzieje tzw. „miejsca odosobnienia” w Berezie Kartuskiej, funkcjonującego w latach 1934–1939 w północnej części województwa poleskiego, budzą od lat zainteresowanie historiografii. Są również przedmiotem wielu opublikowanych wspomnień byłych więźniów. Polscy czytelnicy już od niemal dekady dysponują dwiema naukowymi — poniekąd komplementarnymi wobec siebie — monografiami poświęconymi temu zagadnieniu¹. Jednak nie tylko u nas kwestia ta budzi zainteresowanie. Tematem tym zajmują się również inni. Skład narodowościowy osadzonych w obozie powoduje, że zwłaszcza badacze ukraińscy i białoruscy wydają się predestynowani do podjęcia problemu. Wyrazem tychże zainteresowań jest prezentowana publikacja, jaka ukazała się wiosną 2010 r. na Ukrainie.

Wydawnictwo poświęcone jest tym więźniom obozu w Berezie, którzy zostali osadzeni w związku z podejrzeniami o działalność bądź sympatyzowanie z OUN. Zasadniczo ograniczono się do tych osób, które przetransportowano do „miejsca odosobnienia” w latach 1934–1935, a więc w pierwszym okresie jego istnienia. Książka zawiera dokumenty ich dotyczące, przechowywane w Państwowym Archiwum Obwodu Brzeskiego (dalej PAOB). Publikowane archiwalia pochodzą z dwóch zespołów. Są to: fond 98 (obóz w Berezie Kartuskiej) oraz fond 393 (sędzia śledczy w Brześciu nad Bugiem). Zebrano materiały dotyczące 228 osób, które przybyły do obozu w latach 1934–1935 (opuścić mogły go później). Załączono kilka „dodatków”. Składa się na nie niemal trzydzieści prywatnych listów skierowanych do uwięzionych, dwa referaty społeczne autorstwa jednego z więźniów, a także syntetyczne dane osobowe 36 uczestników wydarzeń na Rusi Zakarpackiej, którzy zostali przekazani polskim władzom przez Węgrów po zajęciu tego obszaru w marcu 1939 r. Na zakończenie podano spis nazwisk funkcjonujących w ukraińskiej literaturze historycznej jako więźniowie obozu w latach 1934–1935, na temat których nie odnaleziono w PAOB dokumentów.

Skala informacji dotyczących poszczególnych więźniów jest zróżnicowana. Zazwyczaj zamieszczona jest swego rodzaju metryka osadzonego, zawierająca jego pełne imiona, imiona rodziców, miejsce zamieszkania, narodowość i wyznanie, datę i miejsce urodzenia, zawód, wykształcenie. Niekiedy towarzyszy jej rozbudowany opis szczegółowej działalności w ciągu kilku lat przed aresztowaniem. Przede wszystkim zaprezentowana jest aktywność o charakterze politycznym bądź społecznym, ale mamy tu także „neutralne” informacje (np. dotyczące wykształcenia). W części przypadków publikowane są pisma wojewodów do sędziego śledczego w Brześciu nad Bugiem, które były podstawą do podjęcia przez niego decyzji o skierowaniu do obozu. Zawierają one rejestr wydarzeń, które zdaniem władz określonego województwa usprawiedliwiały wniosek o osadzenie w „miejscu odosobnienia”. Incydentalnie zamieszczono w książce postanowienia sędziego śledczego o osadzeniu. Z rzadka publikowane są dokumenty odnoszące się w sposób bardziej szczegółowy do samego pobytu konkretnej osoby w obozie. Dotyczą one szczegółów nakładanych kar, przyczyn ich zastosowania, ewentualnie zachowania w trakcie transportu do obozu. Natomiast znacznie częściej podawana jest zbiorcza liczba kar nałożonych na konkretnego więźnia, co

¹ I. Polit, *Miejsce odosobnienia w Berezie Kartuskiej w latach 1934–1939*, Toruń 2003; W. Śleszyński, *Obóz odosobnienia w Berezie Kartuskiej 1934–1939*, Białystok 2003.

dobrze ilustruje stopień jego krnąbrności z punktu widzenia administracji obozowej. W przypadku niewielkiej liczby osób mamy wreszcie do czynienia jedynie z krótką notką, będącą prawdopodobnie syntetycznym regestem dokumentów znajdujących się w teczce osobowej, informującym o okresie pobytu czy właśnie liczbie kar.

Omówienie prezentowanej książki wypada zacząć od konstatacji, że — mimo sporej literatury na temat „miejsca odosobnienia” — brak było dotąd zwartych wydawnictw źródłowych, które prezentowałyby zasoby archiwalne związane z obozem. Omawiana praca w pewnej części tę lukę wypełnia. W efekcie otrzymaliśmy zestawienie bardzo interesujących danych. Przede wszystkim można znaleźć tam wiele szczegółów na temat aktywności tej części ukraińskiego ruchu narodowego, która mniej lub bardziej ściśle związana była z OUN. Jest to również publikacja w istotny sposób naświetlająca działania władz polskich wobec tego odłamu ukraińskiej sceny politycznej. Uzyskujemy bowiem drobiazgowo informacje na temat przyczyn, które w oczach polskiej administracji kwalifikowały do zastosowania szczególnego środka represji, jakim było osadzenie w „miejscu odosobnienia”.

Publikacja wydaje się tym cenniejsza, że dotąd brak jest publikowanej, kompleksowej listy osadzonych. W polskiej historiografii częściowego zestawienia dokonał Ireneusz Polit. Na listach będących wynikiem jego badań znajduje się zapewne nieco ponad 1/3 więźniów (nie wliczając przewiezionych po wybuchu II wojny światowej). Zamieścił on w swoim opracowaniu także listę „członków OUN”. Zawiera ona jedynie 69 pozycji, co — zestawiając ją z prezentowaną pracą — już wydaje się wskazywać na wartość omawianego, ukraińskiego wydawnictwa. Opierając się na nim, można uściślić również kwestię uczestników wydarzeń na Rusi Zakarpackiej osadzonych w „miejscu odosobnienia” wiosną 1939 r. Prócz informacji o wspomnianych 36 osobach załączono również listę sześciu, których szczegółowe akta nie zostały odnalezione w PAOB. Mamy więc w sumie nazwiska 42 osób, które znalazły się w „miejscu odosobnienia” w związku z wypadkami lat 1938/1939. Nieco weryfikuje to dane istniejące w polskiej historiografii, gdzie wspomina się o 38 osobach tej kategorii².

Do omawianej, zasadniczej części książki generalnie trudno zgłaszać poważniejsze uwagi krytyczne. Każdy publikowany dokument opatrzony jest informacją „lokalizującą” go w zasobie PAOB, brak natomiast innych elementów aparatu naukowego, które niekiedy towarzyszą podobnym publikacjom. Być może dobrze byłoby zamieścić krótkie przypisy biograficzne odnoszące się choćby do sygnujących akta wysokich urzędników polskiej administracji. Są to najczęściej wojewodowie, więc dane na ich temat są relatywnie łatwo dostępne, nawet dla zagranicznego badacza. Informacje te mogłyby być pomocne dla ukraińskiego czytelnika. W jednym miejscu (prawdopodobnie w efekcie nierozszyfrowania podpisu) brakuje informacji, że komisarzem rządu na miasto stołeczne Warszawę był Władysław Jaroszewicz (s. 188). Wątpliwość budzi drobna kwestia zamieszczonych w książce wykresów (s. 140, 172, 198). Są to zapewne schematy kontaktów trzech z osadzonych w obozie, jakie ustalono w wyniku policyjnych dochodzeń. Robią one jednak wrażenie „zawieszonych w próżni”, ponieważ brak jakichkolwiek informacji, co zawierają, nie są również zatytułowane. Jeśli chodzi o koncepcję całości tomu, można wyrazić wątpliwość co do tego, że Autorzy nie precyzują przyczyn, dla których ograniczono się właśnie do lat 1934–1935. Być może w zamierzeniu są kolejne podobne publikacje, niemniej brak na ten temat informacji.

Wartość dokumentalnej części książki można więc ocenić wysoko. Natomiast zastrzeżenia należy zgłosić do części wstępnej, której autorami są Petro Mazur i Arsen Hudyma (s. 12–17). Niewiele miejsca poświęcają oni samemu obozowi czy pobytowi tam Ukraińców.

² W. Śleszyński, op. cit., s. 88.

Właściwie nie odnoszą się do prezentowanych archiwaliów. Tekst ich autorstwa to przede wszystkim skrótowe omówienie powstania i działalności Ukraińskiej Organizacji Wojskowej oraz Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów w okresie międzywojennym. Sygnalizowana jest również wroga polityka władz II RP wobec Ukraińców. Ci sami Autorzy stworzyli także krótki tekst poprzedzający dokumenty dotyczące uczestników wydarzeń na Rusi Zakarpackiej (s. 242).

Na polskim czytelniku złe wrażenie może wywierać ton tych krótkich tekstów, ale uznać należy oczywiście prawo do odmiennych interpretacji historycznych. Niestety są one obarczone kilkoma wątpliwymi bądź nieprawdziwymi informacjami faktograficznymi. Ich wspólną cechą wydaje się zamiar wyjaskrawienia pewnych zjawisk związanych z funkcjonowaniem obozu w Berezie.

Błędnym uogólnieniem jest ta konstatacja Autorów części wstępnej, jakoby w latach 1934–1935 obsada policyjna „miejsca odosobnienia” liczyła 200 funkcjonariuszy, a liczba osadzonych wahała się w granicach 250–300 osób. Uwaga ta odnosi się do obu części tegoż twierdzenia. Załoga obozu w latach 1934–1935 liczyła w rzeczywistości od ponad sześćdziesięciu do osiemdziesięciu funkcjonariuszy. Swoje apogeum osiągnęła na początku 1939 r., kiedy to służbę pełniło 131 policjantów³. Podobne przeszacowanie odnosi się do podanej liczby więźniów. O ile jesienią 1934 r. w obozie przetrzymywano 390 ludzi, to w ciągu kilku miesięcy liczba ta spadła kilkukrotnie. Od kwietnia do grudnia 1935 r. zazwyczaj przebywało tam poniżej 100 uwięzionych (szczególnym wyjątkiem był sierpień, kiedy liczba osadzonych wyniosła 198)⁴.

Nie podlega dyskusji, że elementarne warunki codziennego bytowania, jakie stworzono osadzonym w obozie, były ciężkie, a załoga bardzo często posuwała się do działań brutalnych i przemocy fizycznej. Istnieje na ten temat wiele świadectw, kwestię tę omawiają choćby autorzy wspomnianych na początku polskich opracowań. Obraz, jaki jednak kreują P. Mazur i A. Hudyma, różni się nie tylko od funkcjonujących w historiografii archiwaliów, ale nawet od wspomnień więźniów (nb. nie wyłączając Ukraińców). Dowodzi tego opis pożywienia osadzonych. Według Autorów wstępu na dzienną rację składało się z pół litra kawy „rozcieńczonej wodą” (śniadanie), $\frac{3}{4}$ litra rzadkiej zupy (obiad), wreszcie $\frac{3}{4}$ litra wody–zupy oraz 0,4 kg chleba (kolacja). Tymczasem w świetle akt polskiej administracji już po kilku miesiącach istnienia „miejsca odosobnienia” (na początku 1935 r.) wartość racji żywnościowej została zwiększona niemal dwukrotnie. Sądząc z archiwaliów obozowych, na jednego więźnia przypadał nie tylko chleb (0,7 kg) i kartofle (1,5 kg), ale także pewne ilości kawy, cukru, kaszy czy słoniny⁵. Oczywiście mamy do czynienia ze „średnią”, było to pożywienie jednostajne (zupa dwa razy dziennie) i niewystarczające dla ciężko pracujących, ale jednak różniące się od tego, co jako normę prezentują Autorzy. Paradoksalnie w kontekście stwierdzeń wstępu brzmi relacja jednego z uwięzionych działaczy OUN, który przyznawał w latach 50., że wyżywienie było lepsze właśnie w początkowej fazie istnienia „miejsca odosobnienia”⁶.

Krótki opis zewnętrzny samego obozu także robi wrażenie celowo kreowanego dla porażenia czytelnika. Mamy więc do czynienia z „pięciorzędami drutu kolczastego”, „ogro-

³ Państwowe Archiwum Obwodu Brzeskiego, f. 98, o. 2, d. 1, k. 135, Pismo komendanta miejsca odosobnienia do wojewody poleskiego z 2 VI 1935; *ibidem*, f. 1, o. 10, d. 2899, k. 76, Pismo wojewody poleskiego do DP MSW z 18 VII 1934; W. Śleszyński, *op. cit.*, s. 63.

⁴ W. Śleszyński, *op. cit.*, s. 84.

⁵ *Ibidem*, s. 40–41.

⁶ I. Polit, *op. cit.*, s. 79.

dzeniem pod wysokim napięciem”, wreszcie „szerokim rowem z wodą”. Nie znajduje to odbicia w ustaleniach polskiej historiografii⁷. Wypada się zastrzec raz jeszcze, że nie jest absolutnie celem niżej podpisanego negowanie zła, jakim był obóz w Berezie, ani cierpień tam osadzonych. Nie należy jednak prezentować go w oderwaniu od faktów. Trzeba też zaznaczyć, że zakwestionowane dane nie zostały przez Autorów opisywanej części wstępnej w jakikolwiek sposób poparte odwołaniem źródłowym. Oczywiście należy przyjąć bardzo prawdopodobną możliwość, że nowsza polska historiografia dotycząca obozu w Berezie jest na Ukrainie trudno dostępna, bądź nawet wcale. W związku z tym Autorzy części wstępnej nie wykorzystali jej ustaleń. Co nie zmienia jednak faktu, że w omawianej książce informacje, czerpane zapewne jedynie z ukraińskich, emigracyjnych relacji, powielane są w sposób bezkrytyczny.

Można w części wstępnej natknąć się na jednoznaczne w wymowie — a czasami nie do końca zasadne — sądy. Np. pisząc ogólnie o antyukraińskich poczynaniach „polskich szowinistów” (zapewne władz), Autorzy piszą o kościelnym obliczu podobnych działań. Mają rację, twierdząc, że polityka taka dotyczyła również cerkiew, a wyrażała się np. przez podtrzymywanie jej rosyjskiego charakteru. Dlaczego jednak „szczególnie Wołyń” (s. 12) miał odczuwać jej skutki, skoro to właśnie akurat tam zainicjowano pod patronatem wojewody Henryka Józewskiego działania na rzecz ukrainizowania miejscowego Kościoła prawosławnego?⁸ Czytelnik odnosi wrażenie, że założenie obozu było związane jedynie z działalnością OUN i właściwie miało jedynie antyukraiński charakter (s. 16). Jakkolwiek przyczyną bezpośrednią był zamach na Pierackiego, to przecież bynajmniej nie tylko Ukraińcy znaleźli się wśród pierwszych osadzonych. W tekście poprzedzającym część dotyczącą uczestników wypadków na Rusi Zakarpackiej sformułowano zaskakujący sąd o tym, że obszar ten stał się przedmiotem targów niemiecko-sowieckich, co miało doprowadzić do paktu Ribbentrop-Mołotow. Można teoretycznie założyć, że likwidacja wyodrębniającej się Rusi Zakarpackiej była jakoś Moskwie na rękę (likwidacja kłopotliwego także dla bolszewików potencjalnego „ukraińskiego Piemontu”). Niemniej nie podano na to żadnego dowodu, a już przypisywanie prostych konsekwencji tej sprawie, w postaci układu z 23 VIII 1939 r., jest niewątpliwym nadużyciem. W omawianej pracy podano zresztą błędną datę tego wydarzenia („3 sierpnia 1939”), ale być może jest to efekt potknięcia w druku. Polskiego czytelnika może wreszcie ogarnąć zdziwienie, kiedy natyka się na opinię, że przyjaźń niemiecko-sowiecka została opłacona jedynie „suwerennością Ukrainy, krajów nadbałtyckich” czy agresją na Finlandię (s. 242).

Nie ulega wątpliwości, że fakt powołania i funkcjonowania obozu w Berezie Kartuskiej jest jedną z ciemnych kart historii II RP. Co jednak nie znaczy, że jego istnienie powinno służyć do aluzyjnego wyjaśniania i — co zdają się czynić Autorzy tejże części — usprawiedliwiania dramatycznych wydarzeń, jakich sprawcami byli Ukraińcy, a które miały miejsce w relacjach polsko-ukraińskich po 1 IX 1939 r. Wypada przyznać, że nie jest to teza sformułowana wprost. Mimo to specyficznie brzmi odautorska konkluzja, że na zadawane w (bliżej nieokreślonej) przedwojennej polskiej prasie pytanie o to, czy naród ukraiński wybaczy Polakom krzywdy wówczas im wyrządzone, „odpowiedź dała historia” (s. 17).

Podsumowując, należy podkreślić, że omawiana praca jest bez wątpienia cenna w swej zasadniczej części, na którą składają się dokumenty przechowywane w brzeskim archiwum,

⁷ W. Śleszyński, op. cit., s. 35, 141 (schemat obozu).

⁸ J. Kęsik, *Zaufany Komendanta. Biografia polityczna Józefa Henryka Józewskiego 1892–1981*, Wrocław 1995, s. 76.

a także zestawienia zawartych w nich informacji. Natomiast z żalem należy skonstatować zbyt emocjonalne podejście, jakie zaprezentowali Autorzy wstępu. Można postawić tezę, iż odbiło się ono na jego merytorycznej wartości.

Na zakończenie należy dodać użyteczną może dla polskich badaczy informację, że egzemplarz książki znalazł się w zbiorach wrocławskiego Ossolineum.

Piotr Cichoracki
Wrocław

Rozstrzelać Polaków. Ludobójstwo Polaków w Związku Sowieckim w latach 1937–1938. Dokumenty z Centrali, oprac. Tomasz Sommer, Warszawa 2010, 3S Media, ss. 280

Książka została wydana w serii *Biblioteka Wolności* nakładem 3S Media, prywatnego wydawnictwa, należącego, co ciekawe, do Autora publikacji Tomasza Sommera.

Na prawie 280 stronach Sommer przedstawił w bardzo przejrzysty sposób zbiór najważniejszych notatek i rozkazów z samego centrum komunistycznego aparatu, dotyczących „operacji polskiej”.

Mocną stroną publikacji jest 20-stronicowe wprowadzenie. Autor nie tylko umiejętnie streścił wiedzę płynącą z opracowań dotyczących problemów Polaków w ZSRS. Korzystając z niej, przeprowadził zwięzły, logiczny i interesujący wywód na temat „ostatecznego rozwiązania kwestii polskiej”. Postanowił zmierzyć się z brakiem sformalizowanej terminologii w odniesieniu do zbrodni popełnionej na Polakach. Jego zdaniem, choć określenia „ludobójstwo” po raz pierwszy użył dopiero Simon Sebag Montefiore w swojej książce *Stalin, dwór czerwonego cara* wydanej w 2004 r., to nie ma najmniejszych wątpliwości co do „ludobójczego” charakteru zbrodni. Powodem do represjonowania Polaków było zawsze ich pochodzenie, o czym w dokumentach sowieckich mówi się wprost (s. 14).

Autor polemizuje z przyjętą w Polsce w latach 90. nomenklaturą, piętnując np. tytuł materiału Nikity Pietrowa poświęconego sprawie — *Ręka Jeżowa* z 1993 r., nadany przez redakcję kwartalnika „Karta” (nr 11/2003) (s. 28). Zwraca uwagę, że zabieg ów niczym nie różni się od zatytułowania opisu Holocaustu *Ręką Himmlera* i oznacza przejmowanie terminologii zbrodniarzy oraz rewizjonistów. Wszak to z inspiracji Stalina działał Nikołaj Jeżow. Z jego też inspiracji został następnie „kozłem ofiarnym”, na którego skierowano nienawiść całego aparatu komunistycznego za wszechy w ZSRS terror. Jeżowa sądzono jako agenta fikcyjnej POW, który wkradł się do NKWD i na polecenie „wroga” mordował zasłużonych towarzyszy.

Osobno, w ramach polemiki z terminologią, Autor zauważa, że słowo „fasyzm” zostało całkowicie zawłaszczzone przez propagandę stalinowską. Na jej użytek powstały określenia „blok faszystowski”, imitacja czyhającego wroga, i „blok antyfaszystowski” z ZSRS na czele. Sami zaś hitlerowcy faszystami nigdy się nie nazywali. Opisywała ich tak propaganda ZSRS (s. 75).

W swej publikacji Sommer zaproponował wiele ciekawych uwag. Na wyróżnienie zasługuje chwila refleksji nad bijącym z dokumentów Jeżowa i Berii tonem języka. Pisownię patrona „wielkiego terroru” Autor nazywa „grafomańską”, język Berii „zideologizowanym” i „brutalnym”, „zblizonym nieco do stylu Stalina”. Brakuje w książce rozwinięcia tego wątku. Ewentualny podrozdział, poświęcony właśnie semantyce, mógłby znacznie wzbogacić pracę

(s. 35). Podobnie jak uwaga na temat „etosu” NKWD, choć może rzeczywiście zasługuje ona na rozwinięcie w osobnej monografii. Autor przywołuje zdjęcie Dzierżyńskiego z gronem najbliższych współpracowników, które przypomina ujęcie Chrystusa i jego uczniów podczas ostatniej wieczerzy (s. 25).

We wstępie Sommer wydzielił następujące podrozdziały: „Ramy czasowe operacji”, „Ofiary ludobójstwa”, „Kaci”, „Wykonywanie wyroków”, „Biała plama — czyli recepcja ludobójstwa”. Na szczególną uwagę zasługuje zwłaszcza rozdział pierwszy, który odnosi się bezpośrednio do zaprezentowanej w zbiorze dokumentacji.

Autorowi w bardzo przystępny sposób udało się pokazać mechanizm samonapędzania się zbrodni (s. 16–17). Zgodnie z rozkazem Jeżowa Nr 00485 oraz legalizującą go decyzją Biura Politycznego (s. 80–81), inicjującymi „operację polską”, łowy na Polaków miały trwać od sierpnia do listopada 1937 r., a więc tylko 3 miesiące. Z rozpedu, bez żadnego rozkazu, trwały o wiele dłużej. Dopiero z końcem stycznia 1938 r. po licznych monitach w terenie Biuro Polityczne KC WKP(b) formalnie zezwoliło Jeżowowi na przedłużenie represji. Treść przedstawionego w książce dokumentu brzmi: „Zezwolić Ludowemu Komisarzowi Spraw Wewnętrznych do 15 kwietnia 1938 roku na operację rozgromienia szpiegowsko-dyweryyjnych kontyngentów wśród Polaków, Łotyszów, Niemców, Estończyków, Finów, Greków, Irańczyków, Harbińczyków, Chińczyków i Rumunów, zarówno zagranicznych poddanych, jak i obywateli sowieckich, zgodnie z istniejącymi rozkazami NKWD ZSRS” (s. 169–170).

I tej daty granicznej nie respektowano. 26 V 1938 r. Biuro Polityczne przedłużyło uproszczony porządek rozpatrywania spraw dla wymienionych wyżej narodowości (s. 183–184). Operacja była kontynuowana, a nawet została przyspieszona postanowieniem Biura Politycznego z 15 IX 1938 r., o rezygnacji z „trybu albumowego” i przekazaniu rozpatrywania spraw do „trójek specjalnych” (s. 197–198). Masakrę formalnie zakończył rozkaz Berii Nr 00762 z 26 XI 1938 r.

Nowy szef NKWD nakazywał wszystkim organom NKWD: „Natychmiast przerwać przeprowadzanie jakichkolwiek masowych operacji polegających na aresztowaniach i wysiedleniu; pod pojęciem masowych operacji należy rozumieć grupowe aresztowania albo wysiedlenia bez różnicowego podejścia do każdej z aresztowanych czy wysiedlonych osób i bez wcześniejszego wszechstronnego rozpatrzenia wszelkich posiadanych materiałów obciążających, które ich dotyczą”. Beria polecił „uznać za nie posiadające mocy prawnej rozkazy, okólniki i rozporządzenia” wszczynające przez Jeżowa sprawy narodowościowe i wymierzone w poszczególne narody. Za najbardziej szokującą część rozkazu 00762 można śmiało uznać następujący fragment: „Wyposażyć cały zestaw kadrowy pracowników operacyjnych NKWD w centrali i w regionach w egzemplarze kodeksu karnego i kodeksu postępowania karnego” (s. 210–216).

Własną kolekcję dokumentów, pochodzącą m.in. z rosyjskiego archiwum prezydenckiego oraz Centralnego Archiwum FSB Rosji, a zebraną dzięki pomocy Nikity Pietrowa, Autor wzbogacił trzema wydanymi w Moskwie na przestrzeni lat 2003–2007 zbiorami dokumentów. Dokumenty tłumaczył samodzielnie, we współpracy ze znawcą Rosji Wojciechem Grzelakiem. Ponadto w zasadniczym zbiorze i wieńczącym książkę aneksie odcisnięty został ślad oryginalnych dokumentów, w postaci zamieszczonych kopii tychże. Warto przybliżyć kilka najciekawszych akt ze zbioru, porządkujących zarazem wiedzę o Polakach w ZSRS w latach 30.

Rozkaz Nr 00485 szefa NKWD Jeżowa w odróżnieniu od jego uzasadnienia nie jest rozwlekły. Roi się w nim od komunistycznej nowomowy. Przeraza dosadnością dobieganych słów i dowolnością interpretacji. Rozkaz podzielił wszystkich aresztowanych na dwie grupy:

„[...] Pierwsza kategoria, podlegająca rozstrzelaniu, do której należą szpiegowskie, dywersyjne, szkodnicze i powstańcze kadry polskiego wywiadu, druga kategoria, do której należą mniej aktywni z nich, podlegająca karze zamknięcia w więzieniach i łagrach z wyrokami od 5 do 10 lat”. Jak widać, dawał on szerokie pole samowoli aparatowi represji. Na ponad dwa lata całe państwo stało się pułapką dla wszystkich, bez wyjątku, obywateli pochodzenia polskiego: „Zaprzestać zwalniania z więzień i łagrów osób kończących odbywanie kary pozbawienia wolności, których osądzono za szpiegostwo na rzecz Polski” (s. 82–85).

Uzasadnienie dla rozkazu Nr 00485, również autorstwa Jeżowa, ma charakter wypracowania domowego, naszpikowanego mieszaniną elementów fantastycznych z zachowaniem autentycznych imion i nazwisk. „[...] Piłsudski utworzył na sowieckim terytorium swoją silną polityczną agenturę, kierującą likwidowaną właśnie organizacją [POW], po czym systematycznie, z roku na rok, przetrzucał do ZSRS, pod pozorem emigracji politycznej, podlegających wymianie więźniów politycznych, zbiegów, liczne kadry szpiegów i dywersantów, włączających się we wspólny system organizacji działającej w ZSRS i uzupełnianej osobami zwerbowanymi spośród miejscowej ludności polskiej. Organizacją dowodziło centrum znajdujące się w Moskwie, w składzie: Unslicht, Kuklewicz [Romuald], Olski [Jan] i inni, i miało prężnie działające odłamy na Białorusi i Ukrainie [...]” (s. 86–124).

Szokująco prezentuje się treść rozkazu Nr 00486, wydanego przez Jeżowa zaledwie cztery dni po rozpoczęciu „operacji polskiej”. Poświęcony ów został żonom i dzieciom skazanych mężczyzn: „Żony zdrajców ojczyzny zostają skazane, w zależności od tego, jak bardzo są społecznie niebezpieczne, na minimum 5–8 lat obozu. [...] Niebezpieczne społecznie dzieci skazanych, w zależności od wieku, stopnia niebezpieczeństwa i możliwości poprawy, zostają uwięzione w obozach albo koloniach pracy NKWD lub w domach dziecka o specjalnym reżimie prowadzonych przez Ludowe Komisariaty Oświaty republik” (s. 125–131).

Opublikowane przez Tomasza Sommera dokumenty wskazują na to, iż większość komunistów polskiego pochodzenia aresztowano jeszcze przed wydaniem rozkazu o „operacji polskiej”. Za interesujący na tle zbioru trzeba uznać dokument–informację Jeżowa dla Stalina ze stycznia 1937 r. na temat POW, wraz z dołączonym przesłuchaniem Tomasz Dąbala, słynnego działacza chłopskiego, „językoznawcy”, swego czasu zastępcy sekretarza Międzynarodówki Chłopskiej. W protokole przesłuchania zwracają uwagę permanentne przerwy w przesłuchaniu oraz gwałtowne zmiany zdania przez oskarżonego, korygującego swe wypowiedzi zgodnie z tokiem rozumowania śledczych. Zapewne czynił to pod wpływem tortur (s. 73–79).

Wydawca *Rozstrzelać Polaków...* wykazał na podstawie dokumentów osobiste zaangażowanie Stalina nawet w najdrobniejsze szczegóły śledztw. W notatce Stalina z 13 IX 1937 r. czytamy: „Zbić Unslichta za to, że nie wydał agentów Polski w obwodach (Orenburg, Nowosybirsk, itd.)” (s. 132). Na ostatniej stronie informacji specjalnej Jeżowa dla Stalina w sprawie przebiegu „operacji polskiej” z września 1937 r., pod spodem tyran zanotował odręcznie: „T. Jeżowi”, „Bardzo dobrze”, „Wykopcie i czyściec ten polsko–szpiegowski brud. Kruszcie go w interesach ZSRS” (s. 133–146).

Dwa ostatnie pisma zbioru pochodzą ze śledztw prowadzonych przeciwko wykonawcom „wielkiego terroru”. Śledztw z lat 1939 oraz 1955. Pierwszy z dokumentów to protokół przesłuchania oskarżonego Arkadija Postela, pracownika zarządu NKWD w okręgu moskiewskim. Postel stwierdził, że fingowanie spraw przeciw oskarżonym „rozpoczęło się latem 1937 r.”, kiedy nadszedł rozkaz Nr 00485 „zlecający aresztowanie bez jakichkolwiek materiałów czy śledczych danych dwóch kategorii Polaków, w głównej mierze polskich emigrantów politycznych”.

Dalej Postel podaje, że wśród czekistów pojawiło się szereg wątpliwości co do zakresu i autentyczności rozkazu. Wszystkie zniknęły, opowiada, „gdyż powiedziano nam, że ten rozkaz jest umówiony ze Stalinem i Biurem Politycznym KC WKP(b) i że trzeba Polaków rozgromiać na całość”. „Skruszony” NKWD—zista przekonuje, że mimo, iż większość aresztowanych nie miała „na sumieniu niczego oprócz polskich więzień i podziemnej działalności w Polsce”, Jeżow i jego zastępca Michaił Frinowski osobiście doglądali tortur i odbywali nocne obchody w najsłynniejszym moskiewskim więzieniu w Lefortowie. Podczas jednego z nich zwracających się doń ze skargą więźniów Jeżow nakazał bić dalej, a NKWD—zistom na skargi „nie zwracać uwagi” (s. 219–229).

Dokument Nr 28 (s. 230–234) recenzowanej książki dotyczy bardzo ciekawego przypadku — sprawy śledczej Stanisława Redensa, szefa kazachskiego NKWD, prywatnie męża Anny Allilujewej, szwagierki Stalina. Przypadek Redensa jest dowodem na to, że nawet fakt bycia krewnym Stalina nie był środkiem łagodzącym, kiedy chodziło o eksterminację Polaków lub ludzi w jakiś sposób z Polską związanych. Zeznania Redensa miały obciążać przede wszystkim Jeżowa. W toku śledztwa Redens stwierdził: „[...] Na początku operacji Cesarski [Władimir] i Minajew [—Cykanowski Aleksander] w kilka godzin rozpatrywali 500–600, a innym razem 1000 spraw i ich decyzja była ostateczna. Kiedy zaczęła spływać większa liczba albumów [do centrali — P. Z.], dzielili pomiędzy siebie albumy i każdy oddzielnie ustalał wysokość kary. Z zasady w 95 proc. przypadków dawano najwyższy wymiar kary. Potem spisywano protokół i dawano do podpisu Jeżowowi. Jeżow, jak niejednokrotnie sam widziałem, nawet ich nie czytał, otwierał na ostatniej stronie i ze śmiechem pytał Cesarskiego, ilu tu Polaczków... podpisywał, nie czytając, już był tam podpis Wyszyńskiego, jak podpisywał prokurator, to czy on sprawdzał cokolwiek?”

Jak więc widać, książka Tomasza Sommera została usystematyzowana w taki sposób, aby zobrazować „operację polską” z perspektywy centrali partii komunistycznej. Autor udowadnia, że „wielki terror” był nie tylko na bieżąco przez przywódcę ZSRS nadzorowany, lecz wręcz inspirowany. Uznanie czytelnika budzi uwzględnienie w bibliografii literatury rosyjskojęzycznej, zarówno książek, jak i czasopism. Daje nam to dodatkową informację na temat stanu badań nad „wielkim terrorem” w Federacji Rosyjskiej w ciągu ostatnich 20 lat.

Trudno o zastrzeżenia natury merytorycznej. Zdarzają się co najwyżej śladowe wątpliwości natury technicznej. Można zastanowić się, czy przyznania się do korzystania z internetowej encyklopedii nie należałoby uzupełnić dodatkową informacją Autora o traktowaniu Wikipedii z należąca jej ostrożnością (s. 20). Wątpliwość z „innej beczki”: może warto było zamieścić w przypisach oryginalną pisownię nazwisk znalezionych w obcojęzycznym dokumencie, jeśli ma się wątpliwość co do ich tłumaczenia (s. 66)?

Są to wszakże szczegóły, które trudno uznać nawet za „błędy”, w żadnym wypadku nie wpływają one na potężny zasób informacji zawartych w zbiorze. Publikacja przygotowana do druku przez Tomasza Sommera jest niezwykle cennym kompendium podstawowych dokumentów dotyczących „operacji polskiej”. Historyk, który zajmuje się tą tematyką, ma prawo być wdzięczny Autorowi za podjęty wysiłek. Rozproszone do tej pory archiwa znajdują się od niedawna „pod ręką”.

Paweł Zyzak
Bielsko-Biała

Wielki terror: operacja polska 1937–1938, cz. 1 i 2, Kijów–Warszawa 2010, Instytut Pamięci Narodowej, ss. 1982

W księgarniach pojawił się kolejny, ósmy tom IPN-owskiej serii wydawniczej *Polska i Ukraina w latach trzydziestych — czterdziestych XX wieku*. W tomie siódmym historycy IPN, Wydzielonego Archiwum SBU oraz ukraińskich archiwów państwowych, zgromadzili szereg niepublikowanych do tej pory dokumentów zdających relację o losach ludności na Ukrainie podczas „wielkiego głodu”. Nazwa zbioru brzmi: *Wielki Głód na Ukrainie 1932–1933*.

Tom ósmy serii nosi tytuł *Wielki terror: operacja polska 1937–1938*. O wzrastającej wadze dostępnych w nim dokumentów świadczą dzisiejsze przemiany polityczne na Ukrainie. Nowym prezesem ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej został historyk Walerij Sołdatenko, były członek KPZS, nowy zaś szef SBU Walerij Horoszkowski natychmiast po objęciu stanowiska obwieścił, że służba nie będzie angażowała się w badanie zawartości archiwów KGB i NKWD w takim stopniu, jak to miało miejsce za czasów jego poprzednika.

Kształt nadawany publikacjom ukazującym się w owym IPN-owskim wydawnictwie zwartym jest iście unikalny. Czytelnik na lewej stronie ujrzy tekst pisany cyrylicą w języku rosyjskim (wstęp w języku ukraińskim), po prawej natomiast stronie równoległe prowadzony tekst w języku polskim. Tak obrane założenia budzą szczególny podziw i wyrazy uznania za intencje historyków, którym leży na sercu dobro historiografii, a więc to, aby wznosiła się ona ponad granicami państw i polityki.

We wstępie polscy i ukraińscy historycy również dokonali podziału. Na pierwszych trzech stronicach Komitet Redakcyjny przedstawia w skrócie zbiór anglojęzycznych opracowań stalinizmu i „wielkiego terroru”. W drugiej części autorzy z Ukrainy zapoznają czytelnika ze stanem badań nad „wielkim terrorem” za naszą wschodnią granicą — i na Ukrainie, i w Rosji. Rezygnując z bibliografii, postanowili zestawić najważniejszą literaturę tematu w przypisach wprowadzenia (s. 43–57). W trzecim segmencie polska część komitetu zarysowuje stan badań rodzimej nauki nad dramatem polskiej ludności w ZSRS w okresie międzywojennym, skład najważniejszych badaczy i publikacji. Historycy IPN skupili się prócz tego na przedstawieniu konsekwencji rozkazów Nr 00485 i 00486, bardzo dobrze wyjaśnili sposób działania „dwójek” i „trybu albumowego” oraz specjalne pełnomocnictwa dla zastępujących je „trójek”.

Niemalżyżytek przynosi osobny fragment wstępu poświęcony POW w latach 1917–1921. Historycy rozjaśnili cele organizacji oraz jej strukturę, co bardzo ułatwia później śledzenie toku rozumowania NKWD-zistów wytwarzających dokumentację archiwalną (s. 59–81).

Autorzy dzielą ów dwutomowy księgozbiór (ok. 2000 stron) dodatkowo na dwie nierówne części. W pierwszej wykorzystali dokumenty z archiwów SBU w Kijowie, Żytomierzu, Czerkasach i Odessie. Składają się na nią trzy rozdziały. „Organizacja i przebieg represji (1935–1937)” — to pierwszy z nich. Przedstawione są tam materiały na temat wywózki do Kazachstanu oraz raporty, informacje, komunikaty odnoszące się już bezpośrednio do „operacji polskiej”, nie wyłączając z nich rozkazu Nr 00485 szefa NKWD z 11 VIII 1937 r. (s. 257–263). W rozdziale drugim pt.: „Materiały śledcze (1936–1937)” czytelnik pozna autentyczne materiały śledztw prowadzonych przeciwko realnym bądź domniemanym agentom Oddziału II Sztabu Głównego WP. Rozdział trzeci pt.: „Organizacja i przebieg represji (1938–1939)” obfituje w różnego rodzaju statystyki, meldunki i wytyczne gromadzone przez

obwodowe siedziby NKWD. To dalszy ciąg szeregu pojedynczych akt wytwarzanych w ramach „operacji polskiej” i dokończenie pierwszego rozdziału.

W części drugiej, zgodnie z wolą Komitetu Redakcyjnego, znajdują się dokumenty odnalezione w archiwum SBU obwodu żytomierskiego. Stanowią one bazę dla rozdziałów czwartego, pt.: „Materiały śledcze (1938)”, i piątego, pt.: „Nadużycia w aparacie represji”. Pierwszy z nich w swej formie i treści jest kontynuacją rozdziału drugiego. Natomiast ostatni, opowiadający o nadużyciach sowieckiej bezpieki, jest prawdziwą perłą zbioru. O jego zawartości napomknijemy poniżej.

Rozdziały o organizacji i przebiegu represji z lat 1935–1938 są najobszerniejszymi częściami zbioru. Łącznie liczą ponad 1100 stron. Można wśród nich odnaleźć sporo dokumentów, które zasługują na szczególne uznanie.

Jednym z nich będzie na pewno okólnik zastępcy Jeżowa, Frinowskiego, z 17 XI 1937 r. „dotyczący usunięcia z głównych węzłów kolejowych ludzi podejrzanych o działalność sowiecką”. Odzwierciedla on sowiecką fobię powstającą: „1. Natychmiast dokonać aresztowań osób pracujących i zamieszkujących terytorium węzłów kolejowych o znaczeniu dla obronności, zaliczonych do następujących kategorii: a) wszystkich nie represjonowanych jeszcze Polaków, harbińczyków oraz cały element kułacko–antysowiecki, dokładnie według rozkazu NKWD nr 00485, nr 00593 i nr 00447; [...] d) wszystkich nie represjonowanych jeszcze żon, zgodnie z rozkazami NKWD nr 00486, nr 00485 i nr 00593” (s. 213–217).

W dokumentach sporządzonych w związku z „przesiedleniami” Polaków z rejonów przygranicznych bardzo często natykamy się na opisy reakcji na owe wysiedlenia. Ich różnorodność i bogactwo znacząco wzbogacają dotychczasową wiedzę badaczy o przesiedleniach z roku 1935 i 1936. Weźmy dla przykładu fragment meldunku zastępcy szefa NKWD USRS Zinowija Kacnelsona z 3 IX 1936 r.: „Podlegający przesiedleniu z m. Izasław Monaczin, usunięty w 1935 roku z partii za wystąpienia antysowieckie, na oficjalną wieść o przesiedleniach, oświadczył: «...Władza sowiecka sądząc, że mocno okrzepla, już nie wspiera biedniaka¹. Dobrowolnie nie wyjadę. Władza sowiecka nie zrobi ze mnie swojego człowieka, będę czynnym recydywistą i kontrewolucjonistą. Prawa władzy sowieckiej nie funkcjonują, pozostają tylko na papierze. Chłopów nadmiernie obciążają podatkami i ściągają z nich ostatnią koszulę. Przesiedlają tylko Polaków, a dlaczego nie przesiedlają Żydów i Ukraińców? Oto macie politykę narodową władzy sowieckiej, o której tyle piszą w gazetach». Monaczin został aresztowany” (s. 241–247).

Archiwum Aleksandra Uspienskiego, szefa NKWD USRS, pozwala w dalszym ciągu rekonstruować legislacyjny mechanizm sterowania terrorem. Mamy np. dwie dyrektywy Jeżowa z 2 II 1938 r. rozsyłane następnie przez Uspienskiego do obwodów NKWD. Dyrektywa nr 233 nakazuje kontynuować represje „przeciwko grupom poszczególnych mniejszości narodowych” (s. 1215–1217). Dyrektywa nr 234 poucza, jak działać „z osobami, które zbiegły na Ukrainę sowiecką z zagranicy” (s. 1219).

Do zajmujących należy doniesienie agenta ukraińskiego NKWD z 25 II 1938 r., dotyczące wizyty Jeżowa w Kijowie. Rozmawiając ze znajomym lokalnym aparaczykiem, konfident dowiedział się o popłochu, jaki wizyta Jeżowa wywołała wśród ukraińskich czekistów. Jeżow miał zapoznać się z wieloma sprawami uwięzionych przez kijowski komisariat oraz z samymi więzionymi. Powodowany ich żalami, ponoć zwolnił 20 NKWD–zistów z kierowniczych stanowisk, wezwał do siebie 10 kolejnych i oznajmił: „Macie zrzucić mundur wojskowy i iść, gdzie was oczy poniosą. I nie ważcie się więcej pokazywać w NKWD”. Zganił podobno

¹ Sowiecka „kategoria” chłopa. Byli m.in. pożądani „biedniacy”, „średniacy” oraz źli „kułacy”.

resztę funkcjonariuszy, że aż 8 miesięcy przetrzymali więźnia bez aktu oskarżenia i wygłosił formułkę: „Jeżeli zdemaskowaliście szpiega, dywersanta, szkodnika, trockistę i rozstrzelaliście go, to dokonaliście czynu zgodnego z naszą wspólną sprawą. Ale jeżeli wsadziliście do więzienia uczciwego komunistę, to wykonaliście wrogą robotę”. „Tow. Jeżow dosłownie rozrywał ich na kawałki i tłumaczył czekistom, że postępują całkiem na odwrót, niż uczy nas tow. Stalin” — brzmi jedna z opinii zebranych przez agenta (s. 1263–1267).

W ostatniej części rozdziałów o organizacji i przebiegu represji z lat 1935–1938 warto wyróżnić trzy dokumenty. Będą to wydany przez Jeżowa 17 IX 1938 r. rozkaz „nr 00606 w sprawie utworzenia specjalnych trójek do rozpatrzenia spraw na osoby, aresztowane zgodnie z rozkazem NKWD ZSRS nr 00485” (s. 1489–1491) oraz okólnik zastępcy Jeżowa, Berii, z 21 IX 1938 r. „z dodatkowymi wytycznymi do rozkazu nr 00606” (s. 1493–1497). W książce *Rozstrzelać Polaków...* Tomasz Sommer zamieścił, jak pamiętamy, zgodę Biura Politycznego WKP(b) z 15 IX 1938 r. na powoływanie *trojek* wobec obywateli aresztowanych na podstawie rozkazów określających „wielki terror”, w tym rozkazu Nr 00485. Wzajemne uzupełnianie się stanowi na pewno dodatkowy walor obu prac. W zbiorze IPN, podobnie jak w książce Sommera, znalazła się kopia rozkazu Nr 00762 nowego szefa NKWD Berii z 26 XI 1938 r., znoszącego większość tychże rozkazów (s. 1525–1535).

W *Wielkim terrorze...* dysponujemy również dwoma rozdziałami zestawiającymi materiały śledcze z lat 1936–1938. Dokumenty śledcze z 1938 r., zaprezentowane w drugim tomie, sprowadzają się zasadniczo do zbiorczego „aktu oskarżenia przeciwko Jerofiejowi Cencelewiczowi i innym”, łącznie 80 osobom, z 22 VI 1938 r. (s. 1567–1623). W pierwszym zaś tomie znajdują się dokumenty dotyczące indywidualnych śledztw.

Więcej niż interesujący jest plik dokumentów traktujących o sprawie Stefana Kasperskiego *vel* Alberta Rana. Kasperski od stycznia 1936 r. był kierownikiem placówki H-5 Oddziału II Sztabu Głównego, pod przykryciem pracownika polskiego konsulatu w Kijowie. Już kilka tygodni później został aresztowany przez sowiecki kontrwywiad wojskowy i poddany dwumiesięcznemu przesłuchaniu. Wkrótce potem wymieniono go na sowieckiego szpiega, pracownika ambasady sowieckiej w Warszawie.

W dokumentacji (s. 711–783) obserwujemy „ewolucję” zeznań polskiego szpiega. Początkowo wypiera się on związków z polską „dwójką” oraz zleconej przez nią działalności wywiadowczej w ZSRS. W toku śledztwa poddaje się jednak naciskom śledczych i przyznaje nie tylko do szpiegostwa na rzecz Polski, ale opisuje okoliczności podjęcia pracy w wywiadzie polskim. Nie sposób na podstawie zgromadzonej dokumentacji orzec, czy i w jakim stopniu NKWD, prowadząc dochodzenie, używało wobec Kasperskiego tortur fizycznych i psychicznych.

Nie mniej interesująca jest historia Mariana Wolniewicza, agenta wywiadu polskiego, aresztowanego przez sowieckie służby w trakcie próby przedostania się na teren ZSRS. 12 VI 1937 r. o świcie Wolniewicz i towarzyszący mu przewodnik starli się z pogranicznikami sowieckimi, w wyniku czego doszło do strzelaniny. Przewodnikowi udało się zbiec do Polski, Wolniewicz został schwytyany. Na swoje nieszczęście w kieszeni przechowywał notatkę z zadaniami dla agenta. Fakt ów, a także okres zbliżającej się rozprawy z ludnością polską, przesądziły zapewne o losie Wolniewicza. Został skazany na śmierć przez rozstrzelanie. Wyrok wykonano w październiku 1937 r. (s. 833–854).

Zapoznając się z protokołem przesłuchania Piotra Krientowskiego z 10 XI 1937 r., oskarżonego m.in. o szkodnictwo i szpiegostwo, doznajemy z kolei podobnego wrażenia jak po przeczytaniu zeznań Tomasza Dąbala. Krientowski konsekwentnie zaprzecza tezom zawartym w natarczywych pytaniach przesłuchującego, aż do udzielenia następującej wypowiedzi

dzi: „Stało się dla mnie jasne, że dalsze zaprzeczanie jest bezcelowe. Dlatego postanowiłem szczerze opowiedzieć w śledztwie o prowadzonej przeze mnie w Związku Sowieckim działalności szpiegowskiej na polecenie polskich służb wywiadowczych” (s. 913–929).

Nie umniejszając w niczym znaczenia pierwszych czterech rozdziałów zbioru, trzeba stwierdzić, że piąty — ostatni jest najlepszy. 26 dokumentów (s. 1627–1861), stanowiących doskonały przykład funkcjonowania kierownictwa NKWD obwodu żytomierskiego w okresie „wielkiego terroru”, daje nam próbkę niewyobrażalnej wręcz zbrodni popełnionej w ZSRS w latach 1937–1938. Wszystkie dokumenty zostały wyprodukowane w ramach śledztwa prowadzonego od listopada 1938 r. przeciwko, delikatnie mówiąc, nadużyciom *trojki* w składzie: naczelnik zarządu NKWD Grigorij Wiatkin, pierwszy sekretarz komitetu obwodowego WKP(b) Maksim Didenko oraz prokurator obwodowy Wasilij Rasput'ko. Wśród oskarżonych znaleźli się również naczelnicy poszczególnych oddziałów NKWD, wraz z ich zastępcami, a także wszyscy egzekutorzy.

W dokumentach obserwujemy festiwal wzajemnych oskarżeń, prób wybielania siebie i pogrążania przełożonych lub podwładnych. Ich wyjaśnienia są szokujące. Fabrykowanie historii chorób i aktów zgonu, rzekomo wyłącznie pod naciskiem NKWD–zistów. Zamiana skutków pobić na skutki udaru serca bądź zapalenia płuc. Opisy sińców, złamań, obrzeków organów wewnętrznych maltretowanych więźniów. Sofia Feldman, doktor szpitala miejskiego więzienia, opowiada o przyjęciu pewnego razu na obserwację więźnia do tego stopnia skopanego, że wystąpiła u niego martwica tkanek pośladków — gangrena (s. 1806–1809).

NKWD–ziści podczas przesłuchań zdradzają sekrety swojej pracy. Odnotowujemy nie tylko przypadki wypisywania wyroków oskarżenia dopiero po egzekucji, bądź pracy *trojki* w składzie dwu lub jednoosobowym. Oprawcy opisują metody swej pracy. Naczelnik Michaił Fiodorow np. „dopuszczał się do stosowania w III Oddziale UGB² UNKWD metod grupowego przesłuchania oskarżonych w ilości 10–15 osób, stosując metodę pobicia jednego z aresztowanych w celu podziałania na pozostałych i uzyskania zeznań i w ten sposób, wypisując wyroki oskarżycielskie na 150–300 osób oskarżonych, tworzył wizję wykrycia dużych podziemnych k–r³ organizacji” (s. 1817–1819).

Najbardziej wyczerpujące i szokujące zarazem są zeznania Michaiła Gluzmana, naczelnika OMZ⁴ UNKWD obwodu żytomierskiego. Oficer ów opisuje „wynalazek” kolegi po fachu Daniła Małuki, jednego z naczelników w 4 Oddziale UGB NKWD: „Jego ulubioną metodą było zmuszanie uwięzionych do trzymania w rękach przewodów elektrycznych pozbawionych izolacji”.

Nawiązując do „organizacji pracy” NKWD–zistów, warto oddać głos Gluzmanowi: „Miałem okazję zaobserwować takie fakty, kiedy Timoszenko, Ignatienko, Lulkow, Błank, Kondrackij rozkradali najcenniejsze rzeczy należące do rozstrzelanych: skórzane płaszcze, buty chromowe, futrzane kurtki [...]. Oprócz tego, Ignatienko i członek brygady Sosnow, zajmowali się usuwaniem złotych zębów i koronek z ust rozstrzelanych w celu wzbogacenia się. Stąd też, podczas trwania całej operacji, zawsze posiadali przy sobie kleszcze lub kombinerki, przy pomocy których wyrwali zęby”. Nie trzeba przypominać, kto rozciągnął tego rodzaju praktyki na skalę przemysłową (s. 1785–1789).

Zacytujmy jeszcze jeden fragment dokumentu z rozdziału piątego zbioru, tak aby unocznąć atmosferę farsy, w której odbywały się późniejsze procesy bohaterów żytomierskiej

² Zarząd Bezpieczeństwa Państwowego.

³ Kontrewolucyjnych.

⁴ Lokalny Oddział Więziennictwa.

trojki. Pełniący obowiązki zastępcy specjalnego pełnomocnika NKWD USRS Pronin, w „postanowieniu” względem oskarżonego Matwieja Lesnowa–Izrailewa, naczelnika IV Oddziału UNKWD obwodu żytomierskiego, pisał: „Ustalał niezgodnie z prawem normy dla śledczych — uzyskać 5–8 przypadków przyznania się do winy w ciągu dnia, przez co popychał ich do popełnienia wołających o pomstę do nieba nadużyć” (s. 1821–1823).

Monumentalna publikacja IPN jest wydarzeniem szczególnym w dziedzinie badań nad terrorem stalinowskim w ZSRS. Zaopatruje nas w potężny zestaw dokumentów, w większości niepublikowanych. Umożliwia poznanie funkcjonowania mechanizmu terroru na terenie jednej z sowieckich republik.

Redaktorzy *Wielkiego terroru: operacja polska 1937–1938*, poza wprowadzeniem do zbioru, stronią od bycia narratorami. Skupili się raczej na zapewnieniu czytelnikowi dostępu do możliwie największej liczby biogramów bohaterów poszczególnych dokumentów. Zadbali także, aby miał on świadomość jak najpełniejszego odwzorowania oryginalnych dokumentów użytych w redakcji. Nie omieszkali zamieścić wyczerpującego spisu skrótów nazw sowieckich instytucji i stanowisk. Niepomierne ułatwili w ten sposób obycie się ze ścieżką legislacyjną w ZSRS.

Paweł Zyzak
Bielsko–Biała

Ewa Rogalewska, *Getto białostockie. Doświadczenie Zagłady — świadectwa literatury i życia*, Białystok 2008, Instytut Pamięci Narodowej, ss. 287

Książka ukazała się nakładem Instytutu Pamięci Narodowej. Autorka jest pracownikiem Referatu Edukacji Historycznej Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Białymstoku. Pierwotna wersja tekstu stanowiła rozprawę doktorską, napisaną pod kierunkiem prof. Elżbiety Feliksiak i obronioną na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Łódzkiego w roku 2007. Składa się z czterech części (I. Jak z rozbitego szkła stworzyć witraż. O spoiwie i materiale, II. Spoglądając na mapę. Wykluczenie — zamknięcie, III. Post factum, post mortem..., IV. Krajobraz po stracie). Obejmują one siedem rozdziałów (1. Zarys pola badawczego, 2. O różnorodności źródeł, 3. Porządkowanie chaosu: kalendarium i topografia Zagłady w małych formach literatury dokumentu osobistego, 4. Świadectwa losów a strategii autobiograficzne: Kerszman — Nowak — Pisar — Nomberg–Przytyk, 5. Pamięć polska i żydowska: narracje „sprawiedliwych” i „ocalonych”, 6. Wina i odpowiedzialność: Zagłada w wersji sprawców, 7. Miejsca żydowskiej pamięci w przestrzeni miasta po 1944). Dodatkowo wprowadzono dużą liczbę podrozdziałów (około sześćdziesiąt).

Książkę otwiera Przedmowa Cezarego Kuklo, dyrektora Okręgowego Biura Edukacji Publicznej — IPN w Białymstoku, oraz Wprowadzenie Autorki. Część pierwsza (s. 21–64) to prezentacja metody badawczej wybranej przez Autorkę oraz tego, co, i na jakiej podstawie źródłowej, ma zostać opisane. Część druga (s. 67–106) tożsama jest z rozdziałem trzecim, który poświęcony został zagładzie białostockich Żydów. Proces unicestwiania przedstawiony został, jak głosi tytuł, na bazie form literatury dokumentu osobistego, czyli głównie relacji i wspomnień. Część trzecia, najobszerniejsza (s. 109–226), zawiera rozdziały czwarty, piąty i szósty, z których każdy poświęcony jest innej grupie uczestników wydarzeń: ofiar, świadków i sprawców (wedle kategorii wprowadzonej przez Raula Hilberga). Część czwarta

(s. 229–247) opisuje historię żydowskich zabytków kultury materialnej w topografii miasta, głównie budynków i miejsc pamięci, jak np. cmentarze, i mówi o żydowskich znakach we współczesnym Białymstoku. Zakończenie podsumowuje rozważania, a całość zamyka tekst promotorki, zatytułowany „Świadectwa literatury — odnawialne źródła energii” (s. 249–250).

Książka była dotychczas tematem dwóch recenzji. Najpierw pisała o niej Anna Pyżewska („Biuletyn Historii Pogranicza”, 2008, nr 9, s. 126–128), następnie prof. Jerzy Tomaszewski („Kwartalnik Historii Żydów”, 2009, nr 4 (232), s. 520–522). Recenzenci przyjęli książkę pozytywnie, a za najważniejsze braki uznali, nieco inaczej rozkładając akcenty, niedostateczne opisanie niektórych wątków i drobne nieścisłości językowe. Uwagę co do założeń warsztatowo–metodologicznych i wynikających stąd nie zawsze najlepszych konsekwencji, przede wszystkim podziału na część literaturoznawczą i historyczną, uczyniła Anna Pyżewska. Z kolei prof. Jerzy Tomaszewski podniósł kwestię braku ludności białoruskiej w opisie realiów wojennych i zapytał o prawdomówność źródeł, a także podkreślił zalety opisanie przez Autorkę powojennych losów zabytków żydowskich w Białymstoku.

Pozytywne przyjęcie nie było przypadkiem. Jest to ważna publikacja opisująca historię białostockich, i okolicznych, Żydów, mówiąca o świadkach i oprawcach, poruszająca kwestię niszczenia po wojnie dziedzictwa żydowskiego przez władze polskie. Dostarcza czytelnikowi wiele podstawowych informacji z zakresu historii i literatury Holocaustu. Co zaś najważniejsze, pozwala zapoznać się z wojennym doświadczeniem ludności żydowskiej, stanowiącym nieznaną większości Polakom doświadczenie zagłady całego narodu. Jest to kwestia fundamentalna w sytuacji, gdy wiedza faktograficzna i statystyczna nie przekłada się na zrozumienie tego, co naprawdę wydarzyło się na ziemiach polskich okupowanych przez III Rzeszę. Czym innym jest bowiem „wiedzieć”, a czym innym „rozumieć”. Dopiero to ostatnie zmienia postawy indywidualne i skutkuje przemianami na poziomie społecznym. Pod tym względem jest to książka bardzo dobra. Jej znaczenie wzmacnia fakt, że o białostockich Żydach dawno już nie pisano i w polskiej historiografii brak wciąż opracowania, które zajmowałoby się całością ich wojennych losów oraz pretendowałoby do miana monografii getta. Przyczyną jest niedostatek historyków i badaczy zagłady Żydów swobodnie czytających wielojęzyczne źródła. Także pod tym względem Autorka się wyróżnia, sięga bowiem, choć niestety w bardzo skromnym zakresie, do niektórych przynajmniej, najważniejszych, obcojęzycznych źródeł. Dziwi na tym tle wyrażona przez nią opinia, jakoby getto białostockie zostało już wyczerpująco przez historyków opisane, oraz wahanie, czy w ogóle warto ponownie do tematyki tej sięgać (s. 16). Przypomnijmy więc, że wśród polskich historyków tylko Szymon Datner (*Walka i zagłada białostockiego getta*, 1946) oraz Bernard Mark (*Ruch oporu w getcie białostockim*, 1952) stworzyli prace, które z dużym zastrzeżeniem nazwać by można monografiami białostockiego getta. Byli to badacze wywodzący się ze społeczności żydowskiej, niemający problemu z lekturą źródeł w różnych językach. Miało to jednak miejsce ponad pół wieku temu! 4–tomowe wydawnictwo *Białostoccy Żydzi*, jakie ukazało się w latach 1993–2002, pod redakcją Adama Dobrońskiego, choć interesujące i ważne, jest relatywnie ubogie i zawiera jedynie teksty wspomnieniowe, ponadto z różnych okresów. Lepsza pod tym względem sytuacja za granicą także nie oznacza, że temat jest wyczerpująco opisany, a publikacje tam wychodzące nie skutkują wzrostem wiedzy w Polsce [Sara Bender najpierw sama, a potem z Jaffą Murciano w 2008 opublikowała *The Jews of Białystok during War World II and The Holocaust*, zaś w roku 2010 Rebecca Kobrin wydała *Jewish Białystok and Its Diaspora (The Modern Jewish Experience)*]. Wystarczy chociażby wskazać na pro-

blem Judneratu białostockiego, po którym pozostała stosunkowo jedna z najlepszych baz źródłowych, a mimo to wciąż nie posiada on opracowania monograficznego.

Praca ta nie pretenduje do dzieła naukowego o charakterze czysto historycznym. Autorka chciała raczej skupić się na literackiej analizie doświadczenia Zagłady obudowanej faktami historycznymi. Co jednak dokładnie miało być efektem końcowym, trudno stwierdzić, wydaje się, że celów było co najmniej kilka. Jeden z nich to odzwierciedlenie „procesu odnajdywania przeróżnych form i odcieni Doświadczenia Zagłady w getcie białostockim na wybranych przykładach literatury dokumentu osobistego” (s. 14). Jeszcze inny to uchwycenie „związku wydarzeń, przestrzeni i czasu” oraz nazwanie „uniwersalnych i odwiecznych uczuć człowieka w konkretnej sytuacji getta białostockiego” (s. 15). Kluczowe terminy w badaniach Autorki to „doświadczenie i świadectwo”, które służą do „kwalifikacji materiału” źródłowego oraz jego „możliwie wielostronnego” opisu (s. 23). Ilość wyzwań, jakie postawiła przed sobą, świadczy o ambicji i odwadze, ale można się w tym wypadku zastanawiać, czy nie było ich zbyt wiele, skoro w efekcie pojawił się problem z jednoznacznym sklasyfikowaniem pracy. Zauważalne jest to w samej publikacji, gdzie Autorka i jej promotorka nazwały książkę monografią getta, opatrując ją epitetami „swoista” (s. 16) i „wszechstronna” (s. 249), autor Przedmowy stwierdził zaś krótko, że książka monografią „w zamierzeniu badawczym nie miała być — i nie jest” (s. 10). Bez wątplenia temu ostatniemu przyznać należy rację. Podobnie też sądzi wspomniana wyżej Anna Pyżewska, która zauważa (pomijając wątpliwości natury metodologicznej i warsztatowej, o czym dalej), że książka monografią getta być nie może choćby z tego względu, że zajmuje się również innymi miejscowościami, takimi jak Supraśl, Tykocin, Suraż, położonymi w okręgu białostockim, w terminologii niemieckiej znanym jako „Bezirk Białystok”.

Próba połączenia badań literackich z historycznymi zaowocowała nagromadzeniem znaczącej ilości interesującego materiału z różnych dziedzin. Autorka wykonała w tym względzie dużą pracę. Na końcu zamieściła materiał ilustracyjny oraz bogatą bibliografię, zawierającą wszystkie najważniejsze pozycje na temat białostockich Żydów, jakie ukazały się do czasu ukończenia książki. Już chociażby z tego względu, pisząc o dziejach Białegostoku i historii Żydów, książki Ewy Rogalewskiej pominąć nie sposób. Rodzą się jednak zasadne pytania co do kompozycji całości, umiejętności połączenia niespójnych ze sobą warsztatów badawczych i stylów. O ile w jednej z wcześniejszych recenzji zwrócono uwagę, że narracja rozpada się na dwie części, to moim zdaniem odnieść można wrażenie, iż czyta się nie dwa, ale nawet trzy różne teksty, tematycznie tylko spokrewnione. Pierwszym jest analiza literacka wybranych dokumentów spisanych przez ocalałych. Poruszone tematy to głównie przeżycia w getcie i po tzw. aryjskiej stronie. Drugim jest część poświęcona historii sensu stricto. Dzieli się ona na kilka co najmniej wątków (np. walka w getcie, życiorysy niektórych „Sprawiedliwych”, kariera wojenna oprawców i ich losy powojenne, wyroki, na jakie byli skazywani). Trzecim, ostatnim, jest przewodnik po zabytkach żydowskich w Białymstoku. Splotają się tam dzieje samych miejsc z opisem „polityki historycznej” charakterystycznej dla PRL-u, która traktowała dziedzictwo żydowskie koniunkturalnie i instrumentalnie, nie wahając się niszczyć najcenniejszych nawet zabytków i nekropolii.

Podziały te wzmocnione są dużą liczbą podrozdziałów, które ze względu na często niewielki rozmiar, wąską bazę źródłową i ogólne tylko ujęcie problemu nadają publikacji charakter słownika lub encyklopedii o charakterze wybitnie popularyzatorskim. Jest to styl, który od jakiegoś czasu obserwować można wśród niektórych badaczy Zagłady, podobnie jak Autorka łączących różne dziedziny nauk humanistycznych (pod tym względem książka wygląda jak kopia publikacji Barbary Engelking *Zagłada i pamięć. Doświadczenie Holocaustu i jego kon-*

sekwencje opisane na podstawie relacji autobiograficznych, 2001). Element ten postrzegając można dwojako. Jego zaletą jest wyodrębnienie opisywanych zjawisk oraz uporządkowanie tekstu, które służy czytelnikom dopiero wkraczającym w problematykę. Jeśli taki był cel Autorki, to w dużej mierze udało się go zrealizować. Jeśli jednak kierowała książkę także do badaczy, a w szczególności do historyków, to należy zabieg ten uznać za mało fortunny. Dla tych ostatnich bowiem jest to znacząca wada, skutkująca niedosytem informacji oraz wrażeniem, że wiele obietnic poczynionych na początku, nie zostało zrealizowanych. Tak np. podrozdział nazwany „Getto”, odnoszący się do tytułu sugerującego, że publikacja pretenduje do całościowego opisu powstawania, trwania i niszczenia białostockiego getta, liczy zaledwie kilka stron (s. 84–89). Podobnie inne hasła, kluczowe dla dziejów getta, takie jak „Ruch oporu w getcie”, „Akcje”, czy „Walka w getcie”. Tematy, którym można by poświęcić długie artykuły, a nawet książki, tu potraktowane są marginalnie. W dodatku skonstruowane zostały tak, że dużą ich część zajmują obszernie cytaty, zamieszczane konsekwentnie w tekście głównym. Czasami może to sprawiać wrażenie, iż napisanie rozdziału nie polegało na konstruowaniu dyskursu naukowego, tworzącego określone napięcie intelektualne, lecz na znalezieniu kilku, tematycznie powiązanych, fragmentów materiału źródłowego i opatrzeniu ich komentarzem. Przykładów tego rodzaju nieproporcjonalności można by podać znacznie więcej, jak choćby opis dwuletniej okupacji sowieckiej, zajmujący teoretycznie trzy, a faktycznie ledwie dwie strony, wliczając w to obszerny cytat (s. 70–72), czy też podrozdział „Bohaterowie”, któremu wraz z nieodłącznymi cytatami poświęcono ledwie trzy i pół strony (s. 94–97).

Okrojeniu wątków najważniejszych towarzyszy rozbudowa tematów pobocznych, z pewnością nie tak istotnych, jak można by sądzić na podstawie zajmowanego przez nie miejsca. Np. cała wstępna część publikacji, która odnosi się do charakterystyki źródeł i metod badawczych, liczy ponad 60 stron. Stanowi więc około jednej czwartej całości. Szeroko rozbudowane życiorysy „Sprawiedliwych” (s. 145–191), podobnie jak nazistowskich oprawców (s. 205–219), można by skrócić i zamieścić w przypisach, ewentualnie pominąć, a skoncentrować się na analizie zachowań i płynących stąd wnioskach. To samo można by uczynić względem obficie tłumaczonych pojęć i teorii, np. definicji słów „doświadczenie” i „świadek”, która liczy aż pięć stron (s. 23–28), czy teorii winy (s. 195–205). Ponadto wspomniani wyżej polscy „Sprawiedliwi” to jedyna opisana grupa społeczeństwa polskiego. Uwzględnienie tylko takich postaw zniekształca obraz wojennej rzeczywistości. O różnego rodzaju pomocnikach Niemców, „szmalcownikach”, a nawet przygodnych, porządnych w innych okolicznościach, sąsiadach należałoby napisać coś więcej poza wzmianką, iż byli.

Prócz braku pełnego opisu getta do niespełnionych obietnic można dopisać zapowiedź przedstawienia zagłady Żydów z perspektywy sprawców (s. 17). Poza opisem ich powojennych losów i stwierdzeniami typu „zasłaniał się niewiedzą” (s. 206) czy „nie przyznawał do zarzucanych czynów” nic więcej znaleźć nie można. Tymczasem to, co napisała Autorka we Wprowadzeniu, budziło nadzieję na jakąś głębszą wizję wydarzeń z perspektywy oprawców, na chociażby uważną analizę składanych przez nich zeznań, na poddanie tych ostatnich interpretacji przez pryzmat teorii literackich, socjologicznych czy psychologicznych. Niestety, w tym wypadku, inaczej niż wcześniej, czytelnik nie ma szans zapoznać się choćby z pozbawionymi komentarza cytatami, z których dowiedziałby się, co myśleli i czuli oprawcy. Jeśli jakieś cytaty się w ogóle pojawiają, to w minimalnym zakresie i tylko z okresu wojennego. A przecież toczyły się przeciw niektórym nazistom procesy i byli skazywani przed polskimi sądami. Zaliczali się do nich Erich Koch, szef całego okręgu, Waldemar Macholl, jeden z najbardziej „zasłużonych” nazistów w Białymstoku, i Fritze Gustaw Friedel, którego

akta procesowe spoczywają w archiwum IPN w Białymstoku (s. 213). Inni, jak Wilhelm Altenloh, szef Sipo i SD w Białymstoku, czy jego następca Herbert Zimmermann, skazywani byli w Niemczech.

Z wyżej wymienionymi problemami wiąże się bezpośrednio brak wątków polemicznych. Odnieść można wrażenie, iż Autorka unika jakichkolwiek dyskusji z innymi badaczami, nie przytacza żadnej teorii, hasła, pojęcia czy myśli, z którą chciałaby polemizować. Jeśli wspomina jakieś nazwiska, to prawie bez wyjątku tylko po to, by potwierdzić, że poglądy przez nich głoszone są słuszne. Bodaj tylko raz, może dwa, pisze, iż „trudno jest się jej zgodzić” z konkretnymi opiniami, ale ma to znaczenie marginalne dla wyводу książki (s. 37). Efektem takiego stanu rzeczy jest brak jakiegokolwiek nowego spojrzenia i nieobecność trudnych pytań, które ożywiłyby narrację i dodały książce kolorów. Sama metodologia i warsztat badawczy nie jest niczym nowym, w podobny sposób postępowano już wiele osób, choćby te, na które się powołuje. Skutki tego najwyraźniej widoczne są w Zakończeniu, które sprowadza się do znanych już stwierdzeń o toczącej się wciąż dyskusji na temat uniwersalności Zagłady i o wymykaniu się „Doświadczenia Zagłady” pełnemu opisowi (s. 246–247). Zawodzi także analiza porównawcza zamieszczonych biografii, która sprowadza się do zdania, że każdy z autorów prezentuje własne indywidualne doświadczenie, oraz próba odpowiedzi na pytanie o motywacje „Sprawiedliwych”, która zadowala się uznaniem, że trudno na to pytanie uzyskać pełną odpowiedź. Jest to, jak się wydaje, konsekwencja nadmiernie skomplikowanej próby połączenia różnych metod badawczych i stworzenia jednolitej całości z tekstów o odmiennym *de facto* stylu. Taka interpretacja tłumaczy, dlaczego Autorka zaledwie „dotyka” niektórych wątków i bardziej sygnalizuje problemy, niż je rozwiązuje. Wyjaśnia też, dlaczego, gdy stawia tezę albo wyciąga wniosek, ogranicza się wyłącznie do tych, które wydają się bezpieczne, pod którymi podpisują się także inni badacze.

Zdarzają się także drobne, pojedyncze błędy, które wynikają z chwilowego braku precyzji w operowaniu słowem i myślą. Przykładem stwierdzenie, jakoby „duża część ocalałych Żydów zaangażowała się w tworzenie nowej [komunistycznej — M. U.] władzy” (s. 37). Jest to zdanie całkowicie nieprawdziwe i tylko na tle reszty tekstu, wykazującego dużo zrozumienia dla żydowskich losów w Polsce, nie ma powodów, by Autorce przypisywać chęć propagowania stereotypu „żydokomuny”. Kwestią polemiczną może też być uzasadnienie wyjątkowości zagłady Żydów, co Autorka postrzega w „perfekcyjności zaplanowania i przeprowadzenia” oraz tym, że ofiarą byli „Żydzi postrzegający siebie jako Naród Wybrany” (s. 29). Ważniejsze w tej kwestii wydaje się miejsce (centrum Europy), czas (XX w.) i sprawa (ostoja cywilizacji i oświecenia). Dziwią też niektóre sformułowania Autorki, które sprawiają wrażenie bardziej stosownych dla form poetyckich aniżeli naukowych. Pisze m.in., iż prezentowany w książce „obraz getta” będzie „obrazem-witrażem” mającym w tle „hermeneutycznego interpretatora”, za „cynowe okucia” podtrzymujące „elementy konstrukcji” służące mają „fakty i wnioski”, pola winny wypełnić się „indywidualnymi przeżyciami”, zaś światłem niezbędnym dla odbioru witraża ma być „tradycja judaizmu” (s. 42). Podobny, pełen patosu styl towarzyszy czytelnikowi przez większość lektury. Uleganie mu skutkuje pojawianiem się i takich sformułowań, których w ogóle nie sposób zrozumieć, nie wiedząc, co dokładnie Autorka miała na myśli. Sądzić można, że tego rodzaju egzaltowany ton nawiązuje w tym wypadku do stylu autorów stosujących podobną metodologię (wspomniana B. Engelking-Boni czy Jacek Leociak z Centrum Badań nad Zagładą Żydów przy IFiS PAN). Pomijając pytanie, czy takie, jak wyżej przytoczona, konstrukcje są niezbędne, zauważyć należy, że stwierdzenie mówiące o „tradycji judaizmu” sugeruje, jakoby czytelnik teże nieznający, pełnego „witrażu” nie zobaczy, lub nie zrozumie tego, co widzi. Jest to niepotrzebne.

Takiej pokusie Autorka ulega zresztą niejedyn raz, np. porównując zagładę Żydów do biblijnej (niespełnionej) ofiary Izaaka (s. 28), powołując się na uświęconą tradycją księgę „Szulchan Aruch” (s. 197) albo używając terminu „tikun olam” (s. 247). Nawet najlepsze intencje nie usprawiedliwiają łączenia sfery nauki z religią. Jest to zresztą związek niebezpieczny, mogący skutkować uproszczeniami, czego przykładem serwowana czytelnikowi stereotypowa wizja społeczności żydowskiej w Polsce przed 1939 r., tym tylko różniąca się od ludowej, bardzo uproszczonej i schematycznej, że pozbawiona elementów negatywnych (s. 30–31). Można mieć bowiem duże wątpliwości nie tylko co do tego, czy w każdej sprawie Żydzi polscy przestrzegali nakazów religijnych, ale nawet, czy je znali. Modernizacja społeczeństwa żydowskiego, głębokie zmiany, zeświecczenie, wpływ prądów politycznych i ruchów zawodowych gdzieś zostały przez Autorkę pominięte. Podobnie jak fakt, że tradycyjna religijność w roku 1939 dotyczyła już tylko części Żydów, zaś nawet wśród nich znajdowało się wielu, dla których był to jedynie rytuał bez większego znaczenia i przełożenia na życie codzienne.

Innego rodzaju potknięciami są przypisy. Niektóre sprawiają wrażenie zbędnych lub przypadkowych. Np. nr 46 na stronie 213, gdzie po opisie życiorysów Kocha i Altenloha (s. 205–206 i 207–209) ponownie pada informacja, że po wojnie toczyły się przeciw nim procesy i byli skazywani przez sądy. Czasami zawarte w nich informacje nie są pełne, brak np. numeru strony, na której można znaleźć daną informację (zob. s. 29, przyp. 28 czy s. 68, przyp. 2). Niekiedy przypisy w ogóle nie występują, choć bez wątpienia należałoby je uwzględnić, np. gdy mamy do czynienia z cytatem (zob. zarządzenie Judenratu, s. 87) lub biogramem (Herberta Zimmermanna), którego przecież Autorka nie wymyśliła (s. 209).

Podsumowując, wydaje się że wartość książki polega głównie na zebraniu dużej ilości interesujących materiałów, dotychczas niezgromadzonych w jednym, zwartym opracowaniu. Także na przybliżeniu czytelnikowi doświadczenia ofiar zagłady Żydów. Poruszono, ale nie opisano dokładnie, wiele interesujących wątków z zakresu literatury i historii. Uczyniono to w sposób przystępny, bez nadmiaru suchej narracji akademickiej, często stosując cytat jako formę bezpośredniego kontaktu czytelnika z tekstem źródłowym. Nie jest to monografia getta białostockiego, na taką przyjdzie zapewne jeszcze poczekać. Największą korzyść z lektury mieć będą czytelnicy dopiero wkraczający w tematykę zagłady Żydów i wojenną historię Białegostoku. Także historycy i literaturoznawcy znajdą coś dla siebie, ale mogą czuć się zdezorientowani splotem narracji literaturoznawczej z wywodem czysto historycznym. Dla badaczy szczególnie cenna będzie obfita bibliografia. W sumie, pomimo niedostatków, po książkę bez wątpienia warto sięgnąć.

Marcin Urynowicz
Warszawa

Joanna Sadowska, *Sercem i myślą związani z Partią. Związek Młodzieży Socjalistycznej (1957–1976). Polityczne aspekty działalności*, Warszawa 2010, Wydawnictwo TRIO, ss. 444

We wstępie do swojej książki Joanna Sadowska wskazuje, że „mała wyrazistość ZMS jest jednym z powodów, dla których nie budził on w istocie zainteresowania badaczy” (s. 19). Tymczasem przez ów „mało wyrazisty ZMS” przewinęło się ok. 5 mln osób, urodzonych w latach 1925–1958. Obok PZPR oraz ZHP właśnie ZMS był największą organizacją w czasach PRL.

Po ZMS–ie pozostało „grubo ponad milion stron” (s. 172). Tym mocniej trzeba podkreślić, że Autorki ten ogrom materiałów nie zniechęcił. Sadowska przeprowadziła kwerendę w archiwach w Warszawie, Gdańsku, Poznaniu, Łodzi, Katowicach, Białymstoku, Krakowie. Zebrała relacje dwudziestu działaczy ZMS. Zapoznała się z zetemesowską prasą. Nie przeczyła też chyba żadnego ważnego dla tematu opracowania.

Historia opowiadana przez Sadowską nie zaczyna się w roku 1957. Autorka wiele uwagi poświęca przyczynom rozpadu Związku Młodzieży Polskiej, organizacjom powstającym na jego gruzach, postawom młodzieży w 1956 r. — z zastrzeżeniem, że nawet w okresie „odwilży” wiele środowisk nie mogło zaistnieć w przestrzeni publicznej.

Pierwsze sygnały, że nowe kierownictwo PZPR nie pozostawi spontanicznie kształtujących się organizacji młodzieżowych samym sobie, i to nawet tych odwołujących się do etosu lewicowego, pojawiły się już w listopadzie 1956 r.

Momentem zwrotnym okazało się spotkanie działaczy młodzieżowych z Władysławem Gomułą w nocy z 14 na 15 XII 1956 r. Sadowska tak odtwarza jego przebieg: I sekretarz „pytał, ale nie pozwalał członkom młodzieżowej reprezentacji wyjaśnić swoich racji, a dyskusja tak go zdenerwowała, że rzucił ołówkiem, który roztrzaskał się o ścianę, Grotowski odsyłał do pracy w teatrze, Rudolfa Klimka, zgodnie z wykształceniem — do szpitala. Na użytą nazwę Kongres Młodzieży Rewolucyjnej zareagował gwałtownie, pytając, przeciw komu ma być ta rewolucja. Uważał, że nie można używać określenia związek komunistyczny, gdyż Polacy tego nie zaakceptują. Za najmniej kontrowersyjny uznał przymiotnik socjalistyczny, zastrzegając jednak, że nowa organizacja nie może być kojarzona z PPS” (s. 65).

W tym czasie zapadły już najważniejsze decyzje o przyszłości organizacji młodzieżowych. Na początku grudnia kierownictwo PZPR zadecydowało o rozwiązaniu ZMP. Oficjalnie decyzja ta została ogłoszona 10 I 1957 r.

W ocenie Sadowskiej likwidacja ZMP nie wywołała nadmiernego entuzjazmu. Wzywano oto bowiem do wstępowania do Związku Młodzieży Socjalistycznej oraz Związku Młodzieży Wiejskiej, co oznaczało *de facto* przerwanie spontanicznego rozwoju ruchu młodzieżowego. Część aktywistów ZMP nie godziła się z rozwiązaniem ich organizacji. Najsilniej nastroje rozgoryczenia zaznaczały się wśród animatorów Rewolucyjnego Związku Młodzieży, marzących o stworzeniu organizacji lewicowej, ale autonomicznej. Witold Jedlicki uznał utworzenie ZMS za wyrok wydany na niezależny ruch młodzieżowy. Dla Karola Modzelewskiego powołanie ZMS oznaczało „zgliszachtowanie ruchu młodzieżowego”. I to pomimo tego, że na czele ZMS stanął dotychczasowy lider RZM — Józef Lenart (s. 69).

*

W pierwszych miesiącach popaździernikowych ZMS nie był jednak organizacją jednorodną. Ścierały się wówczas co najmniej dwa środowiska. Jedno z nich, które stopniowo zaczynało przeważać, stanowili dotychczasowi działacze ZMP, których pozycję wzmocniały nierzadko wcześniejsze znajomości z funkcjonariuszami PZPR.

Drugie środowisko tworzyli ci, którzy mimo wszystko uwierzyli w możliwość autentycznego działania. Przykładem — grupa działaczy krakowskich skupionych wokół Jerzego Grotowskiego. Niektórych z nich, jak np. Leszka Gronostaja czy Janusza Gilasa, określano w raportach SB (do których dotarła Sadowska) jako „Wściekłą Lewicę ZMS”. 24 III 1957 r. 40 osób z Grotowskim na czele powołało — w ramach ZMS — Polityczny Ośrodek Lewicy Akademickiej (POLA). Akces zgłosiło (lub planowało zgłosić) kilka tysięcy osób. Trudno jednoznacznie ocenić ich przekonania. Co bowiem znaczyły w języku sympatyków POL–i pojęcia „socjalizm” czy „bezpośrednia dyktatura proletariatu”, skoro to właśnie oni wystąpili

z inicjatywą przywrócenia w holu Akademii Górniczo–Hutniczej witrażu przedstawiającego św. Barbarę (s. 74, 76–77)?

Na początku czerwca 1957 r. POLA została rozwiązana przez kierownictwo ZMS. Działacze POL–i uczestniczyli w zakładaniu Klubu Studenckiego Wiosna '56, który w 1960 r. przeobraził się w Studencki Klub „Pod Jaszczurami”. Grotowski zaangażował się w tym czasie w tworzenie Teatru Laboratorium. Od aktywnej polityki stopniowo jednak odchodzili. To szczególnie wyrazisty przykład wygasania młodzieżowej rewolucji (s. 78).

*

Czerwiec 1957 r. okazał się istotną cezurą. Od tego czasu można mówić o „domykaniu” październikowego ładu organizacyjnego.

Jak wskazuje Sadowska, kluczowe dla późniejszej historii ZMS okazało się III Plenum Tymczasowego Komitetu Centralnego ZMS 19–20 III 1957 r. Poprzedziło je spotkanie Józefa Lenarta z Komisją Młodzieżową Biura Politycznego. Zarzucono mu brak jednoznacznej akceptacji dla kierowniczej roli PZPR w ruchu młodzieżowym. Lenart próbował się bronić argumentem, że udziela poparcia partyjnej lewicy przeciwko partyjnej „konserwie”. Dano mu jednak do zrozumienia, że podział ten stracił już aktualność. Plenum przebiegało więc w atmosferze odcinania się od rewizjonistycznych błędów. Lenart złożył rezygnację, zastąpił go dawny działacz ZMP Marian Renke. Obecny na plenum sekretarz KC Jerzy Morawski oświadczył, że partia nie zgodzi się na inny program ZMS niż przygotowanie młodzieży do budowy socjalizmu (s. 82).

Ta nowa rola ZMS została potwierdzona podczas I Zjazdu ZMS — zwanego Zjazdem Konstytucyjnym — 25–26 IV 1957 r. Przemówienie wygłosił Władysław Gomułka, zdaniem Autorki, „dość krótkie, utrzymane w protekcyjnym, ale raczej życzliwym tonie”. Gomułka określił rolę partii w ruchu młodzieżowym jako „rolę nauczyciela, wychowawcy, kierownika, ale też współtowarzysza walki” (s. 87–88).

Postawieniem kropki nad i okazały się zmiany personalne w grudniu 1957 r.: z władz ZMS odeszli wówczas m.in. Stefan Bratkowski i Krzysztof Pomian, włączono natomiast kilkanaście nowych osób, m.in. Stefana Olszowskiego, Mieczysława Rakowskiego, Jana Szydłaka, Jerzego Zawadzkiego, Tadeusza Rudolfa, w większości byłych aktywistów ZMP. Zaostrzył się ton wypowiedzi Mariana Renke, który zaczął sugerować, że rozwiązanie ZMP przyniosło szkodę ruchowi młodzieżowemu i ożywiło siły antysocjalistyczne (s. 90–91).

W 1963 r. sam Gomułka nazwie rozwiązanie ZMP „wielkim błędem, największym głupstwem, jakie w Polsce Ludowej popełniła partia” (s. 50).

Dyscyplinowanie ZMS — od wiosny 1957 r. — miało też związek z tym, że ZMS nie stał się jedyną organizacją młodzieżową po 1956 r. Po „Październiku” ukształtował się „polski model ruchu młodzieżowego”. Obok ZMS powstał Związek Młodzieży Wiejskiej. Odrodziły się lub zmieniły charakter dwie inne organizacje: Związek Harcerstwa Polskiego oraz Zrzeszenie Studentów Polskich (obie traktowane jako organizacje niepolityczne). W 1958 r. utworzono jeszcze Koła Młodzieży Wojskowej — głównie z myślą o członkach ZMS i ZMW. Sadowska wskazuje, że „polski model” nie spotkał się z uznaniem Moskwy, która nalegała na kontynuowanie jednolitego „modelu leninowskiego”. Niewykluczone więc, że zaostrzenie retoryki ideologicznej w drugiej połowie 1957 r. obliczone było też na uspokojenie Kremla (s. 70).

*

Wedle początkowych założeń ZMS miał mieć charakter „wyraźnie klasowy–proletariacki”. Od młodych inteligentów, którzy wstąpiliby do ZMS, oczekiwano głównie zaszczerpania młodzieży robotniczej „świadomości naukowej” (s. 94).

Ideologicznych akcentów przybierało od końca lat 50. Dawny hymn ZMP *Jesteśmy młodą Gwardią proletariackich mas* stał się również hymnem ZMS. Wprowadzono odznaczenie im. Janka Krasickiego. Na początku 1968 r. (jeszcze przed „Marcem”) w uchwale zjazdowej jako jeden z podstawowych celów działania ZMS wskazano wychowanie ludzi „sercem i umysłem związanych z Partią”. W 1973 r. zapowiedziano aktywny udział ZMS w budowie socjalistycznej Polski i wychowaniu „człowieka epoki socjalizmu” (s. 98–99).

W latach 60. coraz intensywniej propagowano też patriotyzm — w praktyce tzw. patriotyzm socjalistyczny („umiłowanie naszej Ojczyzny nieodłącznie kojarzy się z socjalizmem”) (s. 102).

Szczególnie w okresie „laicyzacji” szkolnictwa promowano „naukowy światopogląd”. W ocenie Sadowskiej ZMS starał się jednak uniknąć błędów ZMP i nie zrażać młodzieży demonstracyjnym antyklerykalizmem. Uznawano, że światopogląd laicki nie powinien być warunkiem dopuszczenia do organizacji, lecz raczej rezultatem jej pracy (s. 99). Inaczej niż ZMP — wskazuje Autorka — ZMS podejmował „mało konkretnych akcji antyreligijnych”. Najważniejszą z nich było wsparcie Towarzystwa Szkół Świeckich w okresie „laicyzacji” szkolnictwa oraz tworzenie Kół Młodych Racjonalistów w szkołach średnich (s. 218). Inna rzecz, że podczas wycieczek, zawodów sportowych organizowanych przez ZMS nie przewidywano czasu na udział w mszy św. Niechętnie patrzono na śluby kościelne aktywistów ZMS; jeśli takie śluby się zdarzały, to raczej potajemnie (s. 104, 119).

Można się jednak zastanawiać, w jakim stopniu ta umiarkowana postawa była swoistą „ucieczką do przodu” — zważywszy na to, że wedle badań OBOP wyrażna większość członków ZMS (ok. 66 proc.) uważała się za katolików, do ateizmu przyznawało się zaś ok. 7 proc. (s. 119).

ZMS różniła więc od ZMP ideologiczna niejednoznaczność. Co więcej, ZMS próbowano ukazywać jako spadkobiercę różnych organizacji lewicowych, w tym również związanych przed wojną z PPS-em (s. 93, 95). Zarazem ta niejednoznaczność ideologiczna sprawiała — jak zauważa Sadowska — że przekaz ideowy Związku był trudny do odczytania. Niełatwo też było odróżnić rzeczywiste intencje od retorycznej dekoracji (s. 106).

*

Sadowska wiele uwagi poświęca opisowi metod pracy ZMS. Ich zasadniczą cechą był kolektywizm; zgodnie z obowiązującymi zasadami pedagogiki „sformowanie grupy nie miało być celem, lecz środkiem służącym wyrobieniu odpowiednich cech jej członków” (s. 113).

Niemniej można chyba w działalności ZMS wyróżnić dwa kierunki działań: z jednej strony formowanie „idealnych obywateli PRL”, z drugiej — rozmaite próby włączania młodzieży w życie społeczne.

Formowaniu „idealnych obywateli PRL” z pewnością służyły liczne szkolenia. Ułatwiać je miały pisma poradnikowe w rodzaju miesięcznika szkoleniowego „Płomienie” oraz serie broszur „Wszechnica społeczno–polityczna ZMS”, „Biblioteka aktywisty” (zdarzało się, że z braku chętnych całe nakłady wykupywały zarządy wojewódzkie). W programach szkoleń, zdaniem Sadowskiej, można dostrzec wyraźną zależność nagłaśnianych kwestii od bieżących potrzeb propagandy (s. 212).

Z punktu widzenia szeregowych członków ZMS zapewne atrakcyjniejszy był drugi kierunek pracy formacyjnej ZMS. Na podstawie lektury książki można wyodrębnić przynajmniej trzy obszary aktywności ZMS, które przyciągały uwagę szerszych rzesz młodzieży.

Jeden z nich to sport i turystyka. Krzyżowały się tu zresztą różne motywacje, o czym najlepiej świadczy np. Zlot Młodzieży zorganizowany w 1960 r. w 550. rocznicę bitwy pod Grunwaldem, na który zwieziono 40 tys. młodych ludzi wypoczywających na obozach na Warmii i Mazurach. Niemniej zainicjowana już w 1957 r. akcja letnia przyciągała młodzież. Na początku lat 60. w wyjazdach obozowych uczestniczyło ponad 100 tys. ludzi, na początku lat 70. — będzie ich nawet 250 tys. (zapewne należałoby tu uwzględnić czynniki demograficzne). Trzeba jednak podkreślić, że wczesny letnie ZMS miały głównie charakter obozów — z apelami, szkoleniami, pracami społecznymi (s. 394). Z punktu widzenia aktywistów ZMS (raczej nie szeregowych członków) duże znaczenie miała turystyka zagraniczna (s. 399).

Z zainteresowaniem młodych ludzi, nie tylko członków ZMS, spotykały się przynajmniej niektóre inicjatywy kulturalne ZMS, tym bardziej że to właśnie Związek zarządzał klubami i dysponował funduszami. Nasuwa się tu pytanie: w jakiej mierze ZMS tworzył kulturę młodzieżową, a w jakiej dostosowywał się do potrzeb młodzieży. Zdaniem Sadowskiej odgrywanie przez ZMS roli animatora kultury było korzystne dla obu stron: organizacja ocieplała swój wizerunek i przyciągała nowych członków, a przynajmniej niektórzy twórcy mogli znaleźć pod szyldem ZMS dość bezpieczne schronienie. Inaczej niż ZMP — wskazuje Autorka — ZMS raczej dopasowywał się do oczekiwań młodego pokolenia, okazując się zarazem bezradny wobec jego rosnących oczekiwań. Przykładem może tu być do dziś pamiętana impreza, zorganizowana w 1962 r. przez reporterów tygodnika „Dookoła Świata”, Stefana Bratkowskiego i Wojciecha Giełżyńskiego, w zetemesowskiej kawiarni „Uśmiech”, podczas której wystąpił m.in. zespół Czerwono-Czarni (s. 379–380, 384).

Można się zastanawiać, czy nie najbardziej przyciągały do ZMS niektóre inicjatywy gospodarcze. Często były to zaledwie socjalistyczne rytuały w rodzaju współzawodnictwa, do którego ZMS powrócił w 1959 r. Ale nie tylko. To również spółdzielnie mieszkaniowe. Już w czerwcu 1957 r. Władysław Gomułka osobiście wizytował budowę pierwszego domu na „Osiedlu Młodych” w Warszawie. Podobne inicjatywy pojawiły się też w innych miastach, choć rozkwit spółdzielczości mieszkaniowej pod patronatem ZMS (od 1976 r. — ZSMP) nastąpi dopiero w latach 70. (s. 358–360). Inna rzecz, że kryteria przydziału mieszkań często okazywały się nieprzejrzyste, naruszając głoszoną przez ZMS zasadę egalitaryzmu.

*

Kim byli członkowie ZMS? Sadowska wskazuje, że po 1956 r. nadal obowiązywała zasada „mobilizacji”. Uznawano więc, że im większa liczebność danej organizacji, tym znaczniejsze poparcie udzielane przez nią rządzącym. Stąd też presja na powiększanie statystyk członkowskich. Wedle wyliczeń Autorki ZMS najszybciej rozrastał się w pierwszej połowie lat 60. Napływ członków uległ zahamowaniu na początku lat 70., co wynikało także z tego, że przybywało wówczas możliwości spędzania wolnego czasu na własną rękę. Pod koniec istnienia ZMS liczył ok. 1,1 mln członków. Zdaniem Sadowskiej znacznie więcej od liczby bezwzględnych mówiły o ZMS tzw. dane o stopniu zorganizowania. W 1960 r. do ZMS należało ponad 16 proc. zatrudnionej lub uczącej się młodzieży w wieku od 16 do 30 lat. Dziesięć lat później — prawie 45 proc. (choć np. w Warszawie tylko 34 proc.), w 1972 r. — 38 proc. Gdyby wziąć pod uwagę całą populację młodzieży w tym wieku, okazałoby się, że do ZMS należała mniej niż jedna szóstka. Rzetelność tych danych może jednak budzić wątpliwości. Liczba członków była zawyżana, przede wszystkim na najniższym szczeblu. „Pompowanie”

statystyk służyło wzmocnieniu pozycji działaczy, a także pozyskiwaniu większych środków na różne imprezy (s. 133–135).

Najłatwiej było pozyskiwać nowych członków w szkołach oraz w większych zakładach pracy. Zaskakujący może wydawać się fakt, że pierwszy statut ZMS z kwietnia 1957 r. nie przewidywał akcesu osób mających mniej niż 17 lat. Wedle ówczesnych planów ZMS miał być bowiem przede wszystkim formacją młodych robotników. Wyłączenie uczniów z ZMS uniemożliwiało jednak uczynienie zeń organizacji masowej. Wkrótce uznano to za błąd i zaczęto tworzyć koła ZMS w szkołach ponadpodstawowych. Zdarzało się, że do ZMS zapisywano całe klasy. W rezultacie organizacja zatracala wyrazistość. Zapewne dlatego też w 1973 r. — przy okazji ponownego jednoczenia ruchu młodzieżowego w ramach FSZMP — postanowiono wycofać ZMS ze szkół, próbując uczynić z niego ponownie organizację młodych robotników. Sadowska podkreśla, że bez członkostwa uczniów ZMS nie stałby się organizacją masową (s. 298–304, 309).

Kierownictwo ZMS dokładało starań, także w latach 60., aby dotrzeć do młodych robotników. W ocenie Autorki do ZMS zapisywali się głównie młodzi pracownicy wielkich zakładów, dysponujących zapleczem socjalnym, z którego łatwiej było skorzystać, mając legitymację związkową. Przykładem — Huta im. Lenina, w której aż 57 proc. młodszych pracowników znalazło się w szeregach ZMS, raczej nie z pobudek ideowych. Zaznaczały się różnice regionalne: za najliczniejszą uchodziła katowicka struktura ZMS, za „katastrofalną” uznawano sytuację w Warszawie (s. 291).

Sadowska dostrzega też znamiennej tendencję: od początku lat 60. w ZMS-ie coraz wyraźniej zaznaczała się grupa tzw. pracowników umysłowych, zatrudnionych w urzędach, biurach dużych przedsiębiorstwach czy w instancjach nadzorczych. Do ZMS nie garnęła się zaś inteligencja techniczna, np. młodzi inżynierowie (s. 292).

Jaki więc byłby portret socjologiczny typowego członka ZMS? Sadowska zaznacza, że portret taki trudno nakreślić, gdyż w ZMS znaleźli się zarówno nastoletni uczniowie szkół, jak i dorośli ludzie mający już własne rodziny. Zdaniem Autorki prawdopodobnie większość członków ZMS stanowiła młodzież z rodzin robotniczych, choć trzeba zastrzec, że co najmniej jedna trzecia tych rodzin wywodziła się ze wsi. W ZMS-ie przeważali raczej młodzi mężczyźni; odsetek kobiet w ZMS wynosił od 38 do 47 proc. (s. 135–138).

*

Warto więc zadać pytanie o rzeczywiste motywacje osób wstępujących do ZMS. Początkowo można było spotkać w szeregach Związku ludzi ideowych, jak Karol Modzelewski, Grzegorz Sokołowski czy Andrzej Garlicki. Pomijając komórkę ZMS na Uniwersytecie Warszawskim (której Autorka poświęca osobny rozdział), organizacja raczej jednak odpychała niż przyciągała ideowców. Na ogół ZMS-owi nie udawało się też pozyskać studentów, którym bliższe pozostawało ZSP (s. 327).

Im bardziej masową organizacją stawał się ZMS, tym większe znaczenie zyskiwały nie hasła ideowe, lecz socjalne — jak np. (wspomniana już) oferta wyjazdów letnich czy zajęć rekreacyjnych. W rezultacie przeważały motywacje konformistyczne: np. nadzieja na zwiększenie szansy przyjęcia na studia wyższe czy pomoc w uzyskaniu mieszkania (s. 142–143). Autorka zgadza się też z opinią prof. Marcina Kuli, który wskazywał, że takie organizacje jak ZMS stawały się w PRL „kanałami narzekania”, nieformalnymi biurami skarg i zażaleń, tym bardziej że KC PZPR często właśnie do ZMS przekierowywał listy młodych ludzi (s. 401–402).

W trakcie lektury książki niejednokrotnie nasuwa się też pytanie, czy ZMS nie był przede wszystkim organizacją działaczy. Sadowska wylicza, że aktywiści stanowili mniej więcej jedną piątą ogółu członków organizacji. W szczytowym okresie mogło ich być więc blisko 300 tys. ZMS zatrudniał też ok. 1000 tzw. pracowników politycznych. Byli to głównie sekretarze komitetów oraz członkowie zarządów różnych szczebli (s. 154, 158). Przynajmniej w początkowym okresie istnienia organizacji przeważało „pokolenie ZMP”. Pod koniec lat 50. na ok. 7,5 tys. osób zaliczonych do wyższego aktywu nie działało wcześniej w ZMP tylko nieco ponad tysiąc. Inna rzecz, że owych działaczy cechował już raczej pragmatyzm, czasem konformizm, rzadziej zaś zapał rewolucyjny (s. 155, 165).

Co ciekawe, Sadowska dotarła do ankiet przeprowadzanych wśród działaczy ZMS w 1966 r. Często pojawiała się w nich deklaracja: „działam, bo lubię”. Może to być sygnał, że w ZMS-ie znalazły się osoby, które nie mogły się wykazać — wskutek ograniczeń ustrojowych — na innych polach. Dzisiaj wiele z nich, zauważa Autorka, zapewne odnalazłoby się lepiej w organizacjach pozarządowych, wolontariacie czy w biznesie (s. 156).

Trzeba uwzględnić i to, że jednym z zadań ZMS było przygotowanie przyszłych kadr PZPR. Sadowska wskazuje, że liczba osób rekomendowanych przez ZMS do partii przekroczyła w sumie 500 tys. W 1959 r. zetemesowcy stanowili 10 proc. wstępujących do PZPR, w 1964 r. — 15 proc., a w latach 70. — nawet jedną czwartą. Zdaniem Autorki prawdopodobnie tylko niewielką część z nich motywowały przekonania ideowe (s. 229, 231–232).

*

Czy tak pomyślana organizacja zmieniła mentalność młodego pokolenia lat 60.? Książka Sadowskiej nie przynosi jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie.

Rzeczywisty poziom wiedzy ideologicznej, i to pomimo niekończących się szkoleń, okazywał się w praktyce niski. Dobrze pokazuje to film dokumentalny Marcela Łozińskiego *Jak żyć*, w którym niektórzy uczestnicy „obozu dla młodych małżeństw” w 1976 r. mają kłopoty z prawidłowym rozwiązaniem skrótu PZPR (s. 221). Film Łozińskiego mógłby też ilustrować jeden z wniosków Sadowskiej, że ZMS (a później ZSMP), „pozorując ideowość”, w istocie „uczył skrajnego konformizmu, swoistego pragmatyzmu i relatywizmu, a z fałszu uczynił rytuał, strategię przystosowawczą” (s. 435).

Poszukując odpowiedzi na pytanie o skuteczność ZMS, Autorka przygląda się postawom członków ZMS w marcu 1968 i w grudniu 1970 r. Można odnieść wrażenie, że w marcu 1968 r. rozeszły się drogi działaczy oraz szeregowych członków. Znamiennym przykładem wydaje się tu Politechnika Gdańska, na której ZMS i ZSP zorganizowały wiec z udziałem protestujących studentów i I sekretarza KW Stanisława Kociołka. Za nazwanie studentów wrogami narodu Kociołek został obrzucony wyzwiskami, a także różnymi przedmiotami, wreszcie musiał uciekać. Wiecujący zamiast proponowanej przez ZMS rezolucji potępiającej tzw. wypadki warszawskie przyjęli własną, o przeciwnej wymowie. Okazało się, że wielu szeregowych członków ZMS bardziej identyfikuje się ze swoimi rówieśnikami niż z organizacją (s. 264, 265–266). Podobna sytuacja zaistniała chyba w grudniu 1970 r. (co zresztą potwierdza tezy sformułowane przez prof. Jerzego Eislera).

Natomiast postawa „aktywu” ZMS została w marcu 1968 r. wysoko oceniona przez kierownictwo PZPR: 72 działaczy zostało zaproszonych na spotkanie z Gomułką 19 marca w Sali Kongresowej, a na podium znalazł się sztandar warszawskiej organizacji ZMS. 9 kwietnia, podczas Krajowej Narady Aktywu Studenckiego ZMS, potępiono „brudne politykierskie cele, rozwydrzony reakcjonizm i syjonizm”, jednak bez wymieniania nazwisk, co Sadowska uznaje, mimo wszystko, za przejaw umiaru (s. 272).

*

Działalność ZMS przypadła — co widać z perspektywy czasu — na szczególny okres: z jednej strony „odpuszczenia” przez rządzących sfery życia prywatnego (co pozwalało na „małą stabilizację”), z drugiej — transformacji kulturowej, jaka dokonywała się pod wpływem prądów docierających do Polski z Zachodu.

Przynajmniej cztery czynniki determinowały funkcjonowanie ZMS.

Po pierwsze, słaba okazywała się identyfikacja z państwem i jego instytucjami oraz organizacjami, nie tylko zresztą wśród młodzieży. Zarazem przeważało przekonanie o trwałości PRL, co skłaniało do różnych form przystosowania, a zważywszy na to, że władza unikała ingerencji w życie prywatne, tym bardziej zachęcało do indywidualnego „urządzania się” (s. 27).

Po drugie, społeczeństwo ulegało „odmłodzeniu”; na scenę wkraczało pokolenie urodzone w okresie boomu demograficznego (w 1973 r. połowa obywateli PRL to osoby urodzone po wojnie). Co więcej, młodszą część społeczeństwa cechowała znaczna mobilność; tylko w latach 1966–1970, jak wylicza Sadowska, ze wsi do miast przeprowadziło się 340 tys. młodych ludzi w wieku 15–29 lat (s. 43).

Po trzecie, rosły aspiracje edukacyjne i kulturalne; dzieci przeważnie zdobywały wykształcenie o szczebel wyższe niż rodzice (s. 35).

Po czwarte, zwłaszcza w większych miastach kształtowała się dynamiczna kultura młodzieżowa coraz silniej oddziałująca na kulturę dominującą — zarówno na kulturową tradycję pokolenia rodziców, jak i na politykę kulturalną PZPR. Niemniej — jakkolwiek młodzież wpływała silniej niż dotąd na przestrzeń publiczną, przyjmowała jednak postawę wycofania, na ogół dziedziczyła też po rodzicach przekonanie, że „lepiej się nie wychylać”. Zarazem choć większości młodzieży nie wyróżniał nadmierny indywidualizm, nie chciała ona być formowana wedle jednego wzorca (s. 39–40).

Trudno więc nie zgodzić się z Joanną Sadowską, że „młodzież lat 60. czy 70. nie była idealnym materiałem na działaczy organizacji politycznej” (s. 41).

Tym bardziej więc należy wyrazić uznanie Autorce, że udało jej się pokazać, jak formowano ów „nieidealny materiał” — i z jakimi skutkami.

Krzysztof Kosiński
Warszawa